Nr. 1. Poznań, Niedziela 1go Kwietnia 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Prenumeratę:
w Poznaniu: przyjmuje Administracya, Piekary 7, za M. 3 kwartalnie.
w Niemczech i Austryi: urzędy pocztowe za M. 3,75 kwartalnie.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

OD REDAKCYI.

Jest zwyczaj, że nowe pismo w programowym artykule sztandar rozwija i potrzebę bytu swojego uzasadnia, a wierni tej tradycyi, poczuwamy się do obowiązku określić stanowisko, które „Przegląd Poznański“ zajmie w społeczeństwie polskiem.

Ktokolwiek na przestrzeni ostatnich lat kilkunastu wsłuchiwał się uważnie w skargi i życzenia naszej inteligencyi, ktokolwiek w gronie ludzi myślących rozpatrywał stosunki zaboru pruskiego, ktokolwiek nie zasklepił się w bezdusznej apatyi i gardząc Horacyuszewską zasadą „parvo contentum esse“, zapragnął pełnego i wszechstronniejszego życia dla narodu swojego, ten z żalem i przestrachem spoglądał na rosnącą jałowość tej duchowej gleby, która jest jedną z najważniejszych podstaw narodowego istnienia. Ciasna umysłowość fachowa rozpanoszyła się z autokratyczną bezwzględnością w społeczeństwie naszem, którego widnokrąg nie sięga zwykle po za rogatki specyalnych zawodów, a obszerna niwa ogólno-ludzkich zagadnień, czy to natury ekonomicznej, czy też naukowej, lub artystycznej leży odłogiem pusta i nieuprawiona. Plon i rozwój myśli ludzkiej o tyle tylko nas interesuje, o ile w zakresie zawodu bić z niego można praktyczny kapitał, a ztąd umysł się zacieśnia, siła inicyatywy w życiu narodowem karłowacieje i wśród zmiennych warunków bytu społeczno-politycznego ujawnia się niebezpieczna bezradność i ciężarna w najsmutniejsze następstwa nieudolność.

Prasa nasza codzienna, pochłonięta z jednej strony informacyjną robotę z dziedziny przelotnych aktualności, a z drugiej strony rozpatrująca często sprawy pod kątem interesów stronniczych, nie może ani wszechstronnie badać prądów pulsujących w społeczeństwie europejskiem, ani lemieszem spokojnej i objektywnej krytyki uprawiać szerokiej dziedziny interesów narodowych. Grzęźnie ona mniej lub więcej z natury warunków swoich na mieliźnie, a w obec rozbudzenia nowych czynników ekonomicznych, w obec potężnej reformy, która rozgrywać się zaczyna w społeczeństwie naszem, w obec świeżych haseł, prądów i zagadnień, niepokojących całą myślącą publiczność załamuje nieraz ręce bezradnie, zapoznaje istotę sił rozbudzonych lub puszcza je samopas, schlebiając służalczo.

Czyż w obec tego dziwić się można, że wśród społeczeństwa naszego zrodziła się myśl reformy w postaci założenia poważnego polityczno-naukowego tygodnika? Myśl ta nie jest wyłączną własnością poznańskiej inteligencyi, bo drzemała ona w szerokich kołach publiczności całego zaboru pruskiego. Poznań dał jedynie zewnętrzną inicyatywę i powołał do energicznej akcyi tę ideję, która samoistnie powstała w Księstwie, Prusach Zachodnich i daleko po za granicami prowincyi polskich.

Zaledwie pierwszą zagrano pobudkę, zszeregowała się zdrowa inteligencya około „Przeglądu“ i nie szczędząc ofiarności szlachetnej, w krótkim stosunkowo czasie położyła fundament nowego czasopisma. A w mozolnej tej pracy nie zraziły jej puszczykowe wołania tych stronnictw i koteryi, które przywłaszczywszy sobie monopol hetmanowania kresowym zastępom ulękły się nowych ludzi i nowych idei. Duchy rozkochane w szarym konserwatyźmie i umysłowej nieruchomości, świeczniki przyzwyczajone, aby się każdy ich światłem zachwycał, a nikt intenzywności jego nie badał, ciemiężyciele myśli swobodnej i wolnego słowa, — oto ci wszyscy, którzy z po za węgła lub otwarcie wylewali już przed założeniem nowego pisma potoki żółci na ojców „Przeglądu“. Nie wątpimy ani na chwilę, że bój rozpoczęty w przedświcie ścigać nas będzie i za dnia białego, nie wątpimy, że przeciwnicy podsuwać nam będą w dalszym ciągu najfałszywsze intencye, ale mimo to stoimy niezłomni przy sztandarze „Przeglądu“, bo większą jest miłość dla ojczystej sprawy, niż lęk przed kłamstwa ciosami.

Ojczyznie całej i na obozy niepodzielonej pismo nasze poświęcamy. Jej tylko pożytek mając na celu stajemy w szeregu pracowników pióra, nie oddając się na usługi żadnemu ze stronnictw naród nasz dzielących. Wierzymy w podniosłe cele ogólne, wierzymy w nieśmiertelność narodu naszego, a wiarą tą silni starać się będziemy z pomocą prawdy, sprawiedliwości i nauki wykreślić drogi, któremi wśród krzyżujących się interesów gospodarczych i społecznych dążyć należy do utrwalenia materyalnej i moralnej przyszłości. Wznosząc wysoko sztandar wiedzy, pragniemy odświeżyć wyjałowioną glebę duchową, zwracając przedewszystkiem baczną uwagę

na objawy życia umysłowego u pobratymczych narodów, a rozpatrując bezstronnie i przedmiotowo kwestye bieżące, uniknąć chcemy wszystkiego, co by nas mogło sprowadzić na drogę osobistych zatargów. Praca nasza zdążać będzie do wprawienia wszystkich czynników społecznych w ruch harmonijnego funkcyonowania i zadanie wychowawcze z zadaniem organizacyjnem połączy. W usiłowaniach tych liczyć możemy na pomoc wybitniejszych publicystów i literatów polskich, bo w szeregach współpracowników pisma naszego zapisali się oprócz najznakomitszych sił miejscowych pierwszorzędni warszawscy i krakowscy pisarze.

Ze spokojem stajemy zatem przed myślącą publicznością polską, żywiąc nadzieję, że słów tych kilka określa dokładnie stanowisko nasze, a gdyby myśli programowe nie dość jasno przedstawiły się czytelnikom „Przeglądu", to treść niniejszego numeru stanie się obszernym komentarzem.

POLITYKA.

Nowe siły.

Na zasadzie pewnych danych historycznych, można twierdzić, że siła militarna państwa, jego zdobycze na tem polu, również jak siła fizyczna jednostki, nie zawsze świadczą na korzyść ich cywilizacyjnego stanowiska. Historya ma prawo sądzić narody nie według ilości zdobytych twierdz, lub obszaru zabranych krajów, lecz stosownie do ich duchowego dorobku na korzyść ogólnego dobra. Dla dziejów cywilizacyi małą prawdopodobnie przedstawiać będzie różnicę, czy jakiś naród zabijał swoich sąsiadów toporem, czy za pomocą siedmiomilimetrowego karabina, czy zajmował przemocą pastwiska sąsiadów, powodowany brakiem pokarmu dla trzód swoich, czy też „anektował" ościenne kraje w celu „rozszerzenia sfery interesów".

Daleka przyszłość inną miarą sądzić nas będzie; ona w dziejach ludów poszukiwać będzie śladów ich duchowego i społecznego rozwoju, będzie je sądzić po dziełach pokoju i sprawiedliwości. W obec sądu tego stanie kiedyś Polska i nie stanie z próżnemi rękami!

Narodowi, co wśród powodzi barbarzyństwa ogólnego, znaczył swój pochód pokojowemi unijami, co nastawiał swe piersi w imię przyświecającej mu idei, który padając pod ciosami zaborców, uwikłany w sieci intryg, wydał jeszcze duchem sprawiedliwości tchnącą ustawę państwową, przybyła w najnowszych czasach nowa jasna karta do męczeńskich dziejów: Kartę tę zapisał jedyny obecnie Sejm polski, przyjmując jednomyślnie wniosek posła Badeniego, dążący do równomiernego rozkładu ciężarów szkolnych między gminę i własność dominjalną.

Stoimy w obec faktu wielkiej kulturnej doniosłości, nie tylko przez bezpośredni i niezaprzeczalny wpływ dodatni uchwały sejmu na szkolnictwo i oświatę ludową, ale także ze względu na niepospolite znaczenie idejowe tej uchwały.

Wniosek wyszedł z łona obozu zachowawczego, a więc z pośród stronnictwa u nas, również jak i wszędzie najmniej skłonnego do reform. Nakłada on niezaprzeczenie znaczne ciężary wprost na barki wnioskodawców, jest więc ofiarą dobrowolną, złożoną na ołtarzu ogólnego dobra. W tym akcie sprawiedliwości tkwi ideja obywatelskiego obowiązku i zaparcia się interesów osobistych, owiana wspomnieniem pokojowej polityki naszej przeszłości i tradycyą ustaw majowych. Odzywa się ona do nas znajomą, jakby przez długie lata politycznego ucisku przytłumioną nutą, i budzi nowe nadzieje pełne żywotnej treści.

Stronnictwo zachowawcze tym jednym czynem stanęło na drodze do odzyskania całej sympatyi polskiego społeczeństwa, a otrzymać ją może w zupełności konsekwentnym rozwojem swej działalności w imię tej samej zasady. Członkowie tego stronnictwa muszą po spełnionym fakcie doznawać dawno niezaznanego zadowolenia, jakie daje spełnienie dobrego i dla ogółu pożytecznego czynu, muszą odczuwać, że powrót do małostek osobistych i zasklepienia się w kastowem samolubstwie byłby niegodnem cofnięciem się w tył, zaparciem tych najlepszych instynktów, co przemówiły przez usta p. Badeniego i wspierających go posłów.

Rozumiemy, że ustępstwo zrobione na rzecz szkolnictwa ludowego, nie jest celem, lecz środkiem tylko do urzeczywistnienia tej idei, której: „pierwszym artykułem jest powołanie wszystkich do pracy obywatelskiej, bezwzględna kompetencya każdego stanu, stronnictwa, wyznania".

Oświata ludowa dopiero jako środek, prowadzący do rzeczywistego uobywatelenia ludu, nabiera prawdziwej doniosłości. Racyonalna szkoła ludowa, oprócz przyswajania uczniom skromnej dozy programem objętych wiadomości, ma daleko szersze i głębsze zadanie wychowawcze. Powinna ona rozbudzić miłość kraju, poczucie ludzkiej godności, pragnienie czynnej obywatelskiej pracy: jednem słowem te wszystkie uczucia, które służyły ludom jako bodźce w cywilizacyjnym rozwoju.

Tak pojęta oświata ludu nie ogranicza się na szkole, musimy przewidzieć i oczekiwać, że poruszone serca uderzą, rozbudzone mózgi zaczną myśleć i sądzić, że w szarej apatycznej masie ockną się ludzkie pragnienia i ambicye, że spotęguje się samowiedza i zdolność odczuwania...

Przewidując to i nie czyniąc nic dla utorowania nowych dróg tym budzonym przez nas siłom, postępowalibyśmy, jak człowiek puszczający w zamkniętym budynku parę na tłok parowozu.

O „powołaniu nowych sił", mówimy głośno i szeroko, ale zdaje się nie wszyscy zdajemy sobie sprawę z postaci, w jakiej te siły ukazać nam się mają... Przypomnijmy sobie, że zaparcie się własnych praw i potrzeb spotykamy tylko na dwu przeciwległych krańcach, to jest w stadyum nieświadomości i apatyi z jednej strony i w stanie najwyższego etycznego rozwoju z drugiej. Rozbudzając myśl i uczucie mas ludowych, musimy przewidzieć, że one będą stany pośrednie przechodzić zwolna i stopniowo, — pierwsze ruchy będą może w pojęciu naszem brutalne, a w każdym razie tem gwałtowniejsze, im ciaśniejsze granice i mocniejsze zapory spotkają na swej drodze.

CEZARY JELLENTA.

TRYUMFY PANA WALEREGO.

Pan Walery nie zdawał sobie jeszcze sprawy, czy śpi, czy nie śpi. Była chwila, kiedy zamglony w ten sposób rozsądek stawał się prawie całkiem przytomnym i szeptał mu: mniejsza o to, śpisz, czy nie śpisz, leż, kiedy ci dobrze, i trzymaj sobie oczy zamknięte. I posłuszny tej życzliwej radzie pan Walery przewrócił się energicznie na prawy bok, tak, że omal nie stuknął nosem o ścianę, a łóżko aż skrzypnęło pod nim.

No tak — myślał znowu w półśnie, ale co u licha znaczą te...

Znowu chrapał. Oddech gwałtownie przeciskając się przez jedno nozdrze, gdyż drugie było dobrze schowane w poduszkę, świstał ogromnie niezdecydowanie, z widocznym wysiłkiem, a czasem milknął zupełnie, ażeby znów wpaść na świat boży akordem, w którym rozróżnić było można i głęboki chrapliwy bas i wysoko nastrojony gwizd. Wkrótce jednak, mimo wzmożoną oczywiście energię tchu, który okazywał chęć stania się równym, prawidłowym i donośnym — jakaś przyczyna zewnętrzna zaczęła go głuszyć, ale to w sposób bardzo przyjemny; na miejsce bowiem produkcyj muzycznych pana Walerego, przybyły, zabłąkane zkądcis tony fortepianu. Skąd się one brały o tak późnéj porze? Oczywiście z pod podłogi i w dodatku najlepiéj dawały się słyszeć w okolicach łóżka. Co jednak najważniejsza, to jęły one nie na żarty atakować jedno jedyne wystawione na powietrze ucho pana Walerego i snadź musiały w niem sprawić jakąś sensacyę, gdyż zrobił ręką niewyraźny ruch, i uniósł zlekka głowę...

Nie ulega wątpliwości, że umysł jego dręczony był jakiemś niepokojącem wrażeniem i nawet w końcu wszedł jawnie na drogę badania, przemknęło bowiem przezeń coś w rodzaju kwestyi:

— Co u licha znaczyć mogą te dźwięki?..

W każdym razie był już teraz pewien, że to były dźwięki, a nie jakieś naprzykład intrygujące go zwierzątka, których natręctwo uśpiony mózg mógł był przecie łatwo transponować na podnięty czysto słuchowe. W tej chwili przynajmniej taka zamiana wydawała mu się bardzo możliwą.

Skończyło się wreszcie na tem, że pan Walery przewrócił się znowu na lewy bok, podłożył lewą również dłoń pod głowę, co mu sprawiało dziwnie miłe uczucie wygody, pieszczoty własnego ciała a szeroko otwartemi źrenicami jął wpatrywać się w przestrzeń. Nie znaczyło to jednak, aby cośkolwiek widział, wzrok bowiem ducha miał zwrócony wewnątrz siebie, gdzie nagle zjawił się rój bezładny myśli.

Starał się je rozplątać, nie szło to jednak łatwo; poprzestał więc na skonstatowaniu, że mu jest dziwnie błogo. Ta muzyka odległa, przytłumiona w porze nocnej, kiedy całe miasto drzemie, to taka miła niespodzianka... — I w dodatku grano coś, co kołysało, rozmarzało, falowało...

W téj chwili przypomniał sobie, że parę już razy w życiu zdarzyło mu się być z drzemki poobiednej zbudzonym przez muzykę dochodzącą z sąsiedztwa, i że za każdym razem czuł taką wdzięczność dla grającego, takie rozrzewnienie. A cóż dopiero teraz, o godzinie drugiej po północy, to jest w czasie, kiedy go zwykle ogarnia melancholja samotności. Niespodzianka aż miło! To jest właściwie mówiąc, nie było to uczucie wyłącznie roskoszne. Owszem, mieszało się z niem coś smutnego, być może, iż wspomnienie tego żałosnego stanu ducha, w którym zmęczony jałowem rozpamiętywaniem, rzucił się w ubraniu na łóżko i zasnął. Bo w ogóle dosyć dziwne bywało jego usposobienie po północy. Niby to pysznił się przed sobą samym, że siedzi sam przy swem biurku, założonem książkami i papierami, z głową na ręku wspartą, kiedy dokoła wszyscy już śpią, na ulicy, w oknach ciemno, zrzadka tylko jakaś dorożka zaturkocze po bruku, — a w gruncie rzeczy, na dnie serca błąkał się jakiś żal, poprostu tęsknota nieokreślona za tymi samymi ludźmi, których nieobecnością brawował...

Oh! cmentarz! mówił mu głos wewnętrzny. Pomyśl, jakiś ty w téj chwili samotny, żadna dusza ani z tobą nie myśli, ani ci współczuje. Życie zamarło a tu jeszcze tyle godzin do rana... Tak źle może być chyba człowiekowi, który ocalał sam jeden w mieście, zburzonem przez wulkan, i widzi dokoła siebie stosy ruin i trupy

Patrząc na zachowanie się protektorów i opiekunów oświaty ludowej rodzi się przypuszczenie, iż owoców własnej pracy nie poznają wcale, że oczekują jakichś innych objawów, bardziej sielankowych sytuacyj, własne zaś dzieło biorą za wynik podburzeń, agitacyi i t. p.

A jednak ten lud, „roszczący pretensye“ do polepszenia bytu, żądający głosu i udziału w życiu publicznem. — to przez nich obudzeni i do życia powołani obywatele; stawiają oni pierwsze, niezgrabne kroki, nie rozumieją dyplomatycznych kombinacyj, ale myślą już i pragną, a od chwili, w której myśl ta i pragnienia w szarych masach się zjawiły, naród nasz z kilkakroć stotysięcznego — kilkunasto-milionowym się staje. Od chwili tej znika pytanie, czy miliony zdołają narzucić swą wolę setkom tysięcy, a powstaje tylko kwestya: kiedy to się stanie i jakim sposobem?

Otóż sposoby te zależne są bezpośrednio od zachowania się tej części naszego społeczeństwa, która dziś znajduje się w posiadaniu władzy, wpływów i stanowisk.

Naród patrzy na nich, czując, iż w znacznej części w ich rękach spoczywa klucz pokojowego rozwoju całej sprawy, i od nich, jako najbardziej zbliżonych do doskonałości pod względem intelektualnego rozwoju, spodziewa się ustępstw i dobrowolnych ofiar na ołtarzu dobra publicznego.

Nadziei tych nie zawiódł jedyny sejm polski. Nie wątpimy, iż czyniąc ofiarę na rzecz szkolnictwa ludowego posłowie galicyjscy pojmowali jej doniosłość i skutki, że są przygotowani do otworzenia dróg pracy obywatelskiéj dla wychowańców szkół swoich, że nie cofną się przed usunięciem ciasnych granic więżących te nowe siły.

Wchodząca na porządek dzienny sprawa reformy wyborczej nadarza dobrą sposobność rozwinięcia dalszej konsekwentnej działalności; sądzimy, że stanowisko plenum sejmu krajowego w obec reformy tej, jest już logicznie zdecydowane uchwałą w sprawie szkolnictwa. . . . . .

Wierzymy, że duchy księdza Staszyca, Ignacego Potockiego, Kołłątaja stale już unosić się będą nad głowami radzących w sejmie posłów, i. że inicyatywa tych ostatnich odbije się w postępowaniu odnośnych kół w Królestwie i stronnictwa zachowawczego w Poznańskiem. . .

Pod pruskim zaborem nie mamy wprawdzie sejmu, w którymby mogły, jak w Galicyi, przemówić szlachetne instynkty naszego narodu i dać świadectwo o naszem pojmowaniu obowiązków, — mamy jednak polską prasę. która wyraża opinje pewnych kół miarodawczych, a zajścia towarzyszące ostatniej kampanji wyborczej, dały tej prasie możność zabrania głosu i wyrażenia zdań daleko odchodzących od spokojnego i sprawiedliwego sądu o rzeczy.

Zaszedł właśnie fakt niepoznania i wrogiego odniesienia się do owoców własnej pracy.

Hasła oświaty ludowej, hasła stowarzyszania się nie od dziś padły w Poznańskiem! Kiełkowały one, pielęgnowane przez czasopisma, otaczane opieką duchowieństwa i najlepszych z obywateli. Stanęli oni na czele takich instytucyj jak czytelnie ludowe, kółka rólnicze, spółki zarobkowe, oddając się pracy z niezaprzeczonem zaparciem się i poświęceniem. Jakiż miał być cel téj ofiarnej działalności?

Cel oświaty w nazwie jéj się wyraża; cel różnych spółek i stowarzyszeń sięgał wprost do rozbudzenia ekonomicznego życia, zwiększenia przezorności i zorganizowania zabiegów o polepszenie bytu. Wszystko razem było widocznie skierowanem ku rozwijaniu zdolności, było budzeniem do czynu, do pragnień. Tymczasem ledwie nieco rozbudzone masy przecierać oczy zaczęły, ledwie zaczęły myśleć i radzić o sobie, przerażono się tem, jakby czemś zupełnie niespodziewanem. Zapomniano, że sąd o ludziach i rzeczach, zdolność krytyki, pragnienie niezależności są bezpośredniemi skutkami rozjaśnienia umysłów. W tak zwanych „burdach poznańskich“ niepoznano krewkiej natury młodszej braci dawnych sejmikowców, polskiej burzliwości nieokiełznanej długoletniem przyzwyczajaniem do obwijania myśli w bawełnę, a podnieconej nieraz dotkliwie bliskiemi zagadnieniami.

Czyżby opiekunowie oświaty marzyli o arkadyjskiéj sielance, o pasterzach i pasterkach wdzięcznie upozowanych i w malowniczych strojach, próżnych trosk wszelkich, pieszczących ucho czarownym śpiewem, a oko powabem układu?

Nie posądzamy ich o to i nie marzymy o tem wraz z nimi.

My rozumiemy, że obudzenie się nowych zastępów obywateli i przedzierzgnięcie się ich z obojętnych figurantów w czynnych pracowników, jest faktem niezmiernie dodatnim i korzystnym dla naszego narodu!

Pamiętajmy, że ten sam potok, co zrywa groble i żyzne pola pustoszy, zdolną i umiejętną skierowany ręką, obraca młyny i łąki użyźnia. Trzeba zdobyć się na odwagę uznania nowej siły, narodowi przybywającej i zapobiedz roztrwonieniu jej w niepożytecznych wewnętrznych walkach pod kierunkiem niepowołanych i niedorosłych do swego zadania przywódzców.

Nie może się to odbyć bez ustępstw z rzeczywistych lub przywłaszczonych praw i przywilejów, a poświęcenie takie nie sięgnęłoby nawet tak daleko, jak ofiarność obozu zachowawczego w Galicyi, bo nie wymaga bezpośredniego przyjęcia ciężarów materyalnych. Wejście na taką drogę dyktuje już nietylko poczucie obywatelskiego obowiązku, ale i rozum praktyczny.

Lud polski, niepomny przeszłości, podaje dziś rękę do wspólnej pracy za cenę poszanowania jego równych praw obywatelskich, niekrępowania jego ludzkich potrzeb i dążności. — Niechże nie będzie powiedziane, że ręka do zgody podana, odtrąconą została. . .

Wierzymy, że tak się nie stanie, i w wierze tej umacnia nas przekonanie o szlachetnych instynktach, tkwiących na dnie polskiej natury. Ta sama słowiańska miękkość i łagodność, która nie pozwoliła nam odegrać wybitnej roli w koncercie egoizmów i popędów zwierzęcych, ułatwi rolę przyszłości: rolę pokojowego rozwiązania palących kwestyj społecznych.

I oto w czasie ogólnego rozpanoszonia się polityki samolubstwa, w czasie zacietrzewienia walczących stronnictw i największego rozognienia społecznych antagonistów, my „niżsi kulturą“ i w imię niższości tej gnębieni, sięgamy, za inicyatywą naszego sejmu, po palmę pokoju, przeciwstawiając samolubstwu ofiarę, a nienawiści — miłość. *J. Kastawica.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

„Freiland“.

Manja tworzenia idealnych ustrojów społecznych, która tak rozwielmożniła się była przed laty 40-tu z górą, nie została pogrzebaną wraz z niepowodzeniami, jakich doznały dokonane próby. Że wszystkie one chybiły swego zadania, jest to rzeczą aż nazbyt zrozumiałą. Garstka zapaleńców, zdolnych do uniesienia, lecz nie do systematycznej pracy, niekiedy istotna zbieranina różnego rodzaju wykolejonych, oto żywioły, które płynęły za morze zakładać Nowe Harmonje, Ikarye, aby dla ludzkości utorować nową drogę. Kiedy jednak przychodziło do realnego życia, — dodajmy wśród odludnej pustki cywilizacyjnej i w zupełnem odosobnieniu od szerokiego koryta spraw ludzkich, wtedy entuzyazm pierzchał. Jedni uciekali ponieważ

---

i pół obłąkany woła coraz głośniej i rozpaczliwie i nikt mu nie odpowiada. . .

A jednak pracował, pisał i czytał, niekiedy do samego brzasku. Dziś co prawda robota szła mu leniwo. Częściej, niż zwykle odbiegał myślą od książki i wałęsał się, niewiadomo gdzie, niewiadomo na co i po co. Był podniecony, jak nigdy. Ale sobie zdawał z tego sprawę, Wiedział z doświadczenia, że koniec zimy zawsze tak samo nań działał. A teraz właśnie początek kwietnia. Dusza wyrywa się na świat, coś jak gdyby tchnienie wiosenne, jakby zapach nagiej, świeżo zoranej ziemi, unosiło się w powietrzu, przyspieszało obieg krwi... Zaczynał roić już o wyjeździe na lato, o górach i dolinach... Po chwili znowu podchwytywał zgubiony wątek pracy i śmiał się z własnych marzeń o tem, co będzie dopiero za trzy lub cztery miesiące. Ale bądź co bądź, czuł, że w nim, jak w młodej brzózce, soki gwałtownie zaczynają krążyć i wzbierać.

Śród takiego właśnie zamętu umysłowego zasnął. Cóż dziwnego, że gdy go zbudziła muzyka niewidzialna, wionęła nań kojąco, elegijnie, jakby płynęła z powietrza, i była zesłana przez dobrego, życzliwego anioła.

Wyciągnął się więc jak długi na łóżku, rozkrzyżował ręce, ziewnął i postanowił nie ruszać się z wygodnego tego położenia co najmniej parę godzin. Najwyraźniej zdało mu się, że mózgownica wstrzymała się jak zegar i mile odpoczywa sobie.

Jakoś po chwili zerwał się, usiadł na łóżku i spojrzał po pokoju. Lampa przyćmiona rzucała niepewne światło na dwie duże szafy z książkami, stolik z szachownicą i rozrzuconemi na niej figurami przed małą kanapką jutową. Przy nim parę krzesełek nizkich, tak samo wyścielanych, stało tak, jak je zostawili jeszcze za dnia dwaj koledzy, którzy z nim grali. Na ścianach sztychy, obrazki w złoconych ramach, parę bronzowych medalionów na lewo od biórka, które jednym bokiem zajmowało środek pokoju, a drugim przytykało do muru — ginęły w półcieniu zielonawo zabarwionym od oleandru. Jużci — to zielonawe światło — myślał wciąż zaspany, musiał zrobić ten, co tam gra pod nim, bo ono z muzyką tak dziwnie i zgodnie go nastraja.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że wie on o tej muzyce coś bliższego. Na drugiem piętrze, pod nim, mieszkała jego siostra zamężna, która dziś właśnie obchodzi rocznicę swego niedawnego ślubu. Szwagier, adwokat Łozicki, jest człowiekiem wielce poważnym, kompletny minister i nawet z teką i dobrze szpakowatymi bokobrodami, wskutek czego nie proteguje nawet hucznych zabaw. Uwłacza to jego powadze, przeszkadza dobremu trawieniu, psuje regularny tryb życia, a co najważniejsze, nie daje spokoju, niezbędnego przy wincie. No, ale raz na rok, czyni to ustępstwo dla znacznie młodszej swej żony i pozwala zapraszać mnóstwo prawników, literatów nawet, jak dodawał, artystów z żonami, ciociami, siostrami i córkami.

Pan Walery właściwie przyrzekł solennie siostrze, u której się zresztą stołował, że zejdzie na dół i „nie będzie odludkiem“, jak mówiła, przynajmniej raz na rok. Nie miał zresztą potrzeby gwałcić tak bardzo swej natury, bo mu się trochę uśmiechał ów wieczór. Zwykle miewał powodzenie dla swej rozmowy, błyskotliwości, dosadnego stylu, którym rżnął niemiłych sobie ludzi. Dużo po świecie się włóczył, więc chętnie, nawet z zapałem, słuchano go. Wiedzieli przytem, że jest smakosz artystyczny, wybredny co do kobiet, trochę zarozumiały i impertynent, a to zawsze przyciąga. Nie jedno zalotne spojrzenie dziewczęce, niejeden znaczący ciepły uścisk dłoni młodej mężatki przechował w pamięci z dawniejszych czasów. . .

Dziś pragnął tego więcej niż kiedykolwiek. Dlaczego — zapytywał się. Po prostu parę lat nie był w kraju, a na cudzoziemki tak bywał nieczuły, że nie mógł nawet rozumieć, jak można używać niemek do czego innego jak do mycia schodów, a wiedenek — do podawania kawy. Tak samo było i z mężczyznami. Powodzenie wśród nich nie sprawiało mu najmniejszej przyjemności i mogli go chwalić lub ganić, pożądać lub unikać — nic sobie z tego nie robił. Przekonał się już nieraz, że jego uczucie i zmysły całkiem inaczej reagują na kształty i cerę polek. Czy że ładniejsze? — idyoci, którzy to mówią; pikantniejsze? — głupcy, widać nie znają paryżanek! Mniejsza o to, dla czego, dosyć, że śród warszawianek umie się znaleść, być człowiekiem całym, rozmownym, subtelnym, żywym i między sobą a niemi zgaduje mnóstwo węzłów. Umie jak gdyby panować nad niemi swoim umysłem, grać na ich duszach.

Co prawda, nie wie jak tam będzie dziś, kogo spotka śród kobiet i jakich spółzawodni

tam, gdzie spodziewali się spełnienia swoich marzeń tęczowych, wyglądać poczynała zwykła szarzyzna codziennego życia z podobnie drobnemi kłótniami, intrygami i zajściami; inni znowu, ponieważ, zamiast łatwego kawałka chleba, czekała ich ciężka praca. Niemało też przyczynił się do rozczarowania despotyzm „proroków“. Początkujący poeta przebaczy wykreślenie strofki lub zmianę wyrazu, zarozumiały artysta połknie jeszcze pigułkę krytyki, ale żaden z dotychczasowych utopistów społecznych nie zrzekł się najmniejszego szczegółu ze swego ideału: albo wszystko, albo nic! Nie pytał się o to, czy wytwór jego umysłu pasuje do natury ludzkiej. Był ten ideał dzieckiem rozumu, i na tej zasadzie wymagał dla siebie bezwzględnego posłuszeństwa. Zresztą, nawet gdyby który z eksperymentów utopijnych udał się, nie miałby żadnego znaczenia dla kwestyi społecznej, nurtującej w łonie olbrzymiego mechanizmu, złożonego ze zwykłych ludzi, a zatem często niedość inteligentnych i zbyt małą odznaczających się moralnością. Tylko takie rozwiązanie mogłoby wydać owoce, któreby objęło cały ogrom stosunków i uskuteczniło reformę przy pomocy zwykłych członków społeczeństwa. Powodzenie zaś utopijnej kolonii niczegoby nie dowiodło, gdyż spełniłoby się za pośrednictwem wyjątkowych natur, a nadto, zamiast być udziałem olbrzymiego organizmu społecznego, skrępowanego różnymi historycznymi warunkami, ograniczyłoby się do garstki ludzi, na gruncie, pozbawionym wszelkiej tradycyi historycznej.

Świeżą próbą, wskrzeszającą pomysły Cabet'ów i Fourier'ów, kieruje doktór wiedeński, Teodor Hertzka. Zasady swoje wyłożył on w pracy Freiland, którą to nazwą ochrzconą została też zakładana kolonja. Komitet centralny, którego prezesem jest ów właśnie marzyciel, wiceprezesem zaś Russel Wallace, znany przyrodnik i rywal Darwina, rozsyła w różne strony komunikaty, drobiazgowo obznajmiające z każdym przedsiębranym krokiem. Wydaje on nawet specyalny dwutygodniowy organ. W tych czasach słowo poczyna się przyoblekać już w ciało; deał zawarty w pracy dr. Hertzka, jest bliskim wcielenia w życie.

Jako ziemię, na której zaszczepioną ma być nowa płonka marzycielstwa społecznego, wybrano Afrykę środkową. Pono wybór ów jest jedynie nową rzeczą w całym Freilandzie. Padł on na płaskowzgórza Kenia, w środku równikowej Afryki. Przestrzeń ta, z powodu chłodniejszego klimatu, niezbyt nadaje się do zamieszkania przez murzynów, z tego powodu jest bezludna. Klimat ma być zdrowy, w ciągu całego roku temperatura utrzymuje się mniejwięcej na tym samym poziomie, urodzajność gruntu ma być znaczna. Słowem wybrana okolica posiada wszystkie możliwe zalety, rozumie się według wydawnictw organizacyi Freilandu. Terytoryum znajduje się w angielskiej sferze wpływów. Freilandowcy marzą o wytworzeniu z czasem milionowej kolonii. Pierwszy transport ludzi i środków opuścił Europę w dniu 28 lutego. Kandydatów jest około 300. Są oni rodzajem przedniej placówki, mającej zbadać dokładnie warunki miejscowe, zanim inne transporty puszczą się ich śladem. Związek kierujący, który pozostanie w Europie, kupił specyalny parowiec dla przewiezienia tej wyprawy po rzece Tana. Okolica jest znana polskim czytelnikom z podróży Sienkiewicza.

Przyjrzyjmy się teraz nieco ustrojowi powoływanemu do życia za morzem. Zachowano tam naszą wolną konkurencyę, uznawszy ją za pierwszorzędną siłę kulturną. Ograniczono jedynie własność prywatną. Grunty i kapitały są do pewnego stopnia własnością społeczną. Lecz każdy, kto dorasta pewnego wieku, otrzymuje od społeczeństwa odpowiedni, że się tak wyrazimy, posag, który z czasem, po śmierci, wraca do społeczeństwa. Natomiast wytwór jego pracy, czyli dorobek, jaki otrzymał przy pomocy posagu, jest jego nieodłączną własnością. A ponieważ minęły już czasy, kiedy pojedyńczy wytwórca zdołał produkować towar, przeto posagi będą otrzymywały całe grupy ludzi tego samego zawodu, wiążące się w wolne spółki i odpowiednio dzielące roczny dochód pomiędzy członków. Dzieci, kobiety oraz inwalidzi pracy są utrzymywani kosztem społeczności. Ażeby uniknąć nadmiaru sił robotniczych w jednym fachu, niedoboru w drugim, oraz nadprodukcyi towaru, istnieć będą specyalne instytucye statystyczne.

Słowem, będą to, zamiast prywatnych wielkich przedsiębiorstw, związki wytwórcze, konkurujące pomiędzy sobą, lecz świadome potrzeb społecznych, dzięki urzędom statystycznym; zamiast nieograniczonej własności prywatnej — własność dożywotnia posagu, do którego ma prawo każdy członek społeczeństwa; zamiast prywatnego procentowego kredytu, bezprocentowy państwowy. Oto główne rysy nowej utopii, wcielonej w życie na płaskowzgórzu środkowej Afryki.

Trudno przewidzieć, czy powiedzie się ta nowa próba. Reformy nie są zbyt radykalne, jednostce ludzkiej pozostawiono sporo inicyatywy. Wszystko to pozwala mniemać, że kolonja może wegetować i nawet rozwijać się. Lecz czy oddziała ona jako nowy drogoskaz dla społeczeństwa? O tem stanowczą wątpimy; chyba, że reformatorzy przyniosą liczne dziesiątki milionów za morze i, oderwawszy je od gruntu historycznego, zdołają pozbawić zarazem wszystkich historycznych pojęć.

K. R. Żywicki.

Projekt do prawa.

W przemyśle wszystkich krajów Europy w ostatnich lat dziesiątkach zauważyć się daje dążność do skrócenia tak zw. dnia roboczego, a więc ilości godzin, w ciągu których robotnik w fabryce, lub warsztacie jest zajęty. Prawnie określony dzień roboczy ma wprawdzie tylko Austrya i Szwajcarya (godzin 11), oraz zakłady fabryczne w ośmiu stanach A. P. Zwyczajowo jednak w Anglii dla robotników dorosłych ustanowił się na $10^{1}/_{2}$ godziny dzień pracy, a i w Niemczech w wielu fabrykach bez przymusu prawnego czas pracy zredukowano do 11 i 10 godzin dziennie dla robotników dorosłych.

Gdziekolwiek czas dziennej pracy skrócony został, wszędzie otrzymano jak najlepsze re ultaty, bo krótsza praca fabryczna wywiera korzystny wpływ nie tylko na zdrowie i rozwój umysłowy robotnika, ale pozwala mu z większem natężeniem wykonywać robotę, obsługiwać jednocześnie kilka, zamiast jednej maszyny, (4 warsztaty przędzalnicze w Anglii zamiast 1 w Rosyi), uważać na każdą przerwę, trudność roboty, usuwając natychmiast. Skrócenie dnia roboczego okazuje się przeto korzystnem nie tylko dla robotników, ale i dla przedsiębiorców.

Ze stanowiska ostatnich traktuje również projekt skrócenia dnia roboczego i objęcia go przepisem prawnym, a więc ustanowienia normalnego dnia pracy dla robotników wszystkich kategoryj broszura p. W. Wścieklicy, która ukazała się niedawno w druku w języku niemieckim. *)

Broszura ta ma tem większe znaczenie, że projekt łódzki prawdopodobnie przez radę państwa przyjętym zostanie.

Jak wspomina o tem tytuł, projekt opracowany został przez autora z polecenia zarządu łódzkiego oddziału popierania ruskiego przemysłu i handlu. Z naszego Manchesteru przeto,

* Project einer gesetzlichen Normirung der Arbeitszeit in den industrielen und gewerblichen Etablissement im Russischen Reiche. Łódź r. 1893.

---

ków znajdzie między tymi sądownikami, malarzami i muzykami! No nie ma strachu, jest przecie więcej znany i ceniony niż dawniej.

Wstał raptownie i zaczął szparko chodzić po pokoju, zwiększył płomień lampy, wyrzucając sobie jednocześnie, że tyle godzin zmarnował i nie poszedł znacznie wcześniej.

I znowu kołyszące tony walca przebiły podłogę i odbiły się o bębenki jego uszów. Zaczął na gwałt robić toaletę. W oka mgnieniu stały otworem szafa w pokoju sypialnym, szuflady w biurku i w ogóle wszystko, co miało zamek. Na umywalni rozległ się plusk. Na wszystkich sprzętach leżały rozmaite części garderoby, bądź to zrzuconej przed chwilą, bądź też świeżo wyjętej. Przyznać trzeba panu Waleremu, że uwijał się żwawo, mimo iż przygotowania jego były bardzo złożone. Największą jednak miał biedę z czupryną, która zmoczona nieostrożnie w zimnej wodzie, zeszczuplała znakomicie i figurowała nad czołem już tylko w postaci cienkiej nad wyraz warstwy włosów. Wspaniały za to czyniły efekt dwie ogromne zatoki, stanowiące uzupełnienie czoła i wdzierające się na ciemię z zachwalstwem tem większem, im bliżej były swojego celu, to jest samego czubka głowy. Na widok tak rozległego, a ugorem leżącego pola pan Walery zasępił się. Jął się przypatrywać z bliska w lustrze to prawej to lewej skroni, podziwiał glans skóry w tych miejscach, gdzie ongi kwitnął las kędziorów...

Zadumał się nawet poważnie i ze szczotką w jednej, a grzebieniem w drugiej ręce zaczął spacerować po pokoju, nieznacznie i dodajmy na jego usprawiedliwienie, bezwiednie wymachując niemi w powietrzu — ale rychło strząsnął smutne myśli, i wziął się z nadzwyczajną otuchą do czesania brody i wąsów. Tu już w głowie jego zapanowała pogoda, zwłaszcza, gdy rzucił okiem na obnażoną swą pierś i ręce. Zgiął mocno prawą, zacisnął pięść — biceps odrzynał się porządnie. Potem cofnął się nieco wstecz od lustra rozkraczył nogi jak mógł najszerzej i dalejże naśladować rąbanie drzewa. Niebawem czoło poczerwieniało, czuł się wyprostowanym, rzeźkim i w ciągu paru minut znalazł się w możności strzepywania miotełką paru pyłków z fraka. Z pewnem upodobaniem oglądał swą odświeżoną i wyświątecznioną figurę, mieszaninę uroczystą kolorów czarnego ze śnieżno białym — gorsu, krawata i rękawiczek i nawet bez żadnego trudu odepchnął głos jakiś idący z wnętrza, że przypomina filistra.

Sprężystym krokiem zbiegł na drugie piętro i znalazł się przed wysokiemi drzwiami mieszkania państwa mecenasostwa. Wrzawa rozmów i śmiechów dochodziła aż do sieni i przyśpieszała mu bicie serca. Postał chwileczkę, by ochłonąć ze wruszenia, poczem własnym kluczykiem otworzył zatrzask i wszedł do przedpokoju. Już tutaj było gwarno. Służba płci obojga przebiegała to tu to tam z nakryciami, porcelaną, kloszami. Oczywiście szykowano się do kolacyi....

W rzeczy samej, gdy rzucił okiem w stronę pokoju jadalnego, dostrzegł dwa rzędy stołów, stojące równolegle, suto zastawione, oraz raźno krzątających się gości, którzy zajmowali już swe miejsca. Garstka panów przepijała do siebie w kącie obok bufetu, na którym piętrzyły się tace z przekąskami. Panie wkraczały majestatycznie i z całą troskliwością podgarniając swe suknie, siadały na krzesłach. Była to sama starszyzna i pan Walery, nie widząc śród niej nikogo z młodych, łacno zmiarkował, że nie tam dla niego miejsce. A że przy dźwiękach poloneza coraz większe fale się do jadalni wlewały, lśniąc w światłach wielkiej lampy wiszącej i pająków, więc prawie przerażony cofnął się czem prędzej i rzucił na lewo ku salonowi.

Tu scena przedstawiała się całkiem odmiennie. Światła jeszcze więcej. Po zielonym półmroku jego pracowni, jasność ta podziałała nań odrazu atmosferą nerwową. Grono młodych ludzi otaczało kozetkę, na której dwie powabne jakieś osóbki zawzięcie się wachlowały i wiodły rozmowę urywaną, chichoczącą. Na prawo widać było budoar pani Łozickiej, z wrzozystemi obiciami złoto - niebieskiemi, obwieszony niemal od góry do dołu cackami. Były to akwarele damskiej roboty, rozety z fotografij, portrety malowane, przed oknem żardinjerka z donicami róż, azalij, figusów i wielką palamą wachlarzową. Stoliki, stoliczki, nesseserki, — istne muzeum galanteryi artystycznej: na stolkach bogato oprawne albumy, ozdobne wydani poezyj. Na wprost drzwi niewielka szafka, cała prawie ze szkła, a w niej zbite rzędy książek ze złocistemi grzbietami, w oprawach jaskrawych, barwnych, stały tak wymusztrowane i szykowne, jak gdyby z tego położenia nie wychodziły już od wielu, wielu miesięcy.

jak zowią Łódź, wychodzi projekt uregulowania warunków pracy, które są dziś niezmiernie ciężkie. gdyż praca zwyczajna trwa po fabrykach od 13 do 15 godzin dziennie. Nie będziemy się tu zajmowali przeglądem prawodawstw fabrycznych w różnych krajach Europy i oddziaływania ich na powodzenie i rozwój przemysłu. Tej części opisowej, z której przytoczyliśmy kilka faktów. poświęcił autor znaczną część swej pracy (32 str.). Druga rozpatruje następstwa już wprowadzonych ograniczeń prawnych, odnoszących się do pracy kobiet i małoletnich, zebrane przez prof. Janżula podczas działalności jego jako inspektora fabrycznego w okręgu moskiewskim. Pracując według przepisów prawa wprowadzonego w życie w dniu 1 maja 1894 r. 6 godzin dziennie, a nawet $5^{3}/_{4}$, zamiast poprzednich $11^{1}/_{2}$, młodociani robotnicy wykonali poprzednią ilość pracy, a zarobek ich roczny nie tylko nie obniżył się. lecz wzrósł nawet. Te same rezultaty otrzymała fabryka pp. Czetwerikowych. w której praca dzienna zredukowana została z 24 do 18 godzin na dobę. z dwiema zmianami, i ograniczeniem dziennej pracy każdego robotnika do 9 godzin. A więc powiadają inicyatorowie projektu, okazuje się, że i rosyjski robotnik wiele lepiej i intesywniej pracować może przy krótszym dniu pracy. Fabrykant, otrzymując w ciągu 9 lub 10 hodzin taką ilość produktu, jak poprzednio w dniu roboczym długości godzin 13 lub 15, oszczędza na materyale opałowym pod kotły parowe i na świetle. Jeżeli więc fabrykanci sprzeciwiają się powszechnie skróceniu dnia pracy. pochodzi to prawdopodobnie z nieznajomości doświadczeń zrobionych już gdzieindziej. a również z obawy strat dopóki robotnik nie przywyknie do natężonej pracy. Takie przyzwyczajenie się robotnika do nowych dni pracy trwa niekiedy parę lat, podczas których współzawodnicy fabryki, czyniącej ustępstwa żądaniom robotników. lub względom humanitarnym. tracą w konkurencyjnej walce. To też skrócenie dnia roboczego wyjść powinno nie z inicyatywy prywatnej. ale stanowić akt prawodawczy. Tu państwo musi mieć na uwadze nie tylko potrzeby przemysłu, ale przedewszystkiem cele ogólno-państwowe, a więc ochronę zdrowia i moralności robotników. W imię tych celów podjętą już została opieka nad pracą małoletnich niżej 18 lat i kobiet, oraz zakaz pracy poniżej lat 12. Tak samo jednak względy zdrowia i moralności domagają się zniesienia nocnej pracy dorosłych, wszędzie tam, gdzie praca ta nie jest konieczną (np. w odlewniach metalu). Inicyatorowie projektu domagają się tedy zakazu pracy między 10 godziną wieczorem a 4 rano. Nawet w tych fabrykach, które jak piece do topienia rudy. cukrownie. browary. gorzelnie, muszą pracować w nocy, pożądanem jest zawieszenie roboty w niedziele i doroczne święta. Autor nie spostrzegł, że to ostatnie żądanie co do pieców np. jest niemożliwem. rozpalenie pieca kosztuje zawsze kilka set rubli. Zresztą projekt jego jest bardzo racyonalnym.

Znaczne skrócenie czasu pracy wydaje się autorom projektu niebezpiecznem, gdyż mogłoby wywołać zbyt nagłą zmianę w warunkach życiowych robotnika. Tymczasem przeto proponują 12 godzin pracy dla wszystkich zakładów fabrycznych. w których nocnej pracy nie ma, z przerwą godzinną na obiad. W porównaniu z dotychczasową pracą godzin 13 po fabrykach, a 15—16 nawet w zakładach rzemieślniczych byłoby to już bardzo pożądaną różnicą.

Ponieważ we wszystkich odlewniach metalu a zwłaszcza w tych, które obrabiają żelazo i stal, praca. jako cięższa. dziś już trwa krócej, niż godzin 13, ażeby więc robotnicy tych zakładów również z dobrodziejstw prawa skorzystać mogli. czas ich pracy skrócić do godzin 11. Z powodu niebezpieczeństw i wpływów szkodliwych. jakim podlega praca w kopalniach, dzień pracy w kopalniach ograniczyć do 10 godzin. Żądanie ostatnie jest bardzo umiarkowanem, gdyż w Anglii nigdzie w kopalniach nie pracują dłużej nad godziu 8, a w Durham i Northumberland (okręgi wielkiego strejku z ostatnich miesięcy) praca trwa $6^{1}/_{2}$ i 7 /, godzin.

W jaki sposób urządzić system pracy w tych fabrykach, które i nocą pracować muszą, projekt nie rozstrzyga, bo zaprowadzając 7, lub 8 godzin pracy, ustanowićby wypadało trzy zmiany.

Jeżeli nowa ustawa w ciągu pierwszych pięciu lat swego zastosowania pomyślne wyda rezultaty, projekt wyraża życzenie dalszéj redukcyi znów o godzinę, przedłużenie zaś nocnego spoczynku do 8 godzin, mianowicie od 9 wieczór do 5 rano.

Broszura oprócz kilku drobnych błędów faktycznych (jak n. p. twierdzenia, że w Anglii istnieje normalny dzień pracy. prawnie obowiązujący), napisana jest jasno, argumentacya ułożona przekonywająco i zręcznie.

Dr. Zofia Duczyńska.

LITERATURA I SZTUKA.

Wiersz Kaźmierza Brodzińskiego

Do Wacława Hanki.

Przeglądając bogatą spuściznę Wacława Hanki, bibliotekarza narodowego muzeum w Pradze, jednego z najzasłużeńszych wskrzesicieli czeskich, badacza, literata i wydawcy sensacyjnego Rękopisu królodworskiego (ur. w r. 1791, umarł w r. 1861 r.) znaleźliśmy w malutkiej książeczce pamiętnikowej. w której na życzenie Hanki. goście, odwiedzający go w muzeum prazkiem, zapisywali się na pamiątkę, załączony wiersz Kaźmierza Brodzińskiego.

Ponieważ przypuszczamy, że wiersz ten autora Wiesława nie jest ogółowi znany, przynajmniej nie posiadamy o tem wiadomości. z przyjemnością notujemy go na niniejszem miejscu. nie tylko jako utwór popularnego poety, lecz i jako upominek i motyw osobistego stosunku dwu wybitnych osobistości i przedstawicieli pobratymczych narodów:

Czech i Polak, po jednej idziemy kolei.
Sława nasza w przeszłości, ojczyzna w nadziei,
Jedne są nasze straty i cele i chęci,
Żyjmy dla dobra synów. dla ojców pamięci.
Tyś wzbudził męzkie pienia, chwałę męzkich czynów,
Tyś boski język Słowian przechował dla synów.
Ja i za to uwielbiam moje przeznaczenie,
Że, co możesz, ja czuję. co czynisz, ja cenię;

Kazimierz Brodziński.

3 kwietnia 1824. (Praga czeska.)

Do tego zaznaczamy, że o pobycie Brodzińskiego w Pradze i stosunku jego do Czechów, zwłaszcza do Fr. L. Czelachowskiego, ogłosiliśmy artykuł w dodatku literackim „Kraju“ Petersburskiego (1882 nr. 18). Dr. Z. Celichowski ogłosił „Listy Wacława Hanki do. hr. Działyńskiego“ w „Lechu“ (w 1878), obecnie zaś „Korespondencya pana Adama Junosza Rościszewskiego z Wacławem Hanką (1824—1844) drukuje się w „Dzienniku Poznańskim“.

Praga czeska. marzec 1894.

Edward Jelinek.

Wszystko to świeże. nowiutkie. pachniało wdziękiem młodej kobiety, lubiącej otaczać się wykwintem.

Ztamtąd najwięcej dochodziło głosów. W przerwie między zabawą a kolacyą zrobiono snadź napad na sanctuaryum pani Łozickiej. Osób jednak pan Walery nie widział, tylko zgadywał, że tam się zebrać musiał sam kwiat towarzystwa.

Gdy tak stał na progu i rozglądał się po salonie. po którym kilka par się przechadzało, ten i ów dostrzegł jego obecność i wnet kilku podeszło ku niemu.

— A. pan Walery! Gdzież to się podziewacie, już się tu o was panie dopytywały. wykrzyknął. o ile mu na to kluski w gębie pozwalały. tłusty, przysadzisty literat p. Czwartak.

— Jak się macie — odrzekł przywitany, oddając prawą rękę na pastwę grubej dłoni kolegi, który śmiejąc się promiennie wymachiwał nią z góry na dół z całéj siły.

Niebawem ustały spacery i potworzyły się małe grupy. Pan Walery zbliżył się do kozetki i wmieszał się do rozmowy z dwiema paniami.

— Pan chyba uciekasz od ludzi — zaszczebiotała panna Jadwiga i rzuciła przelotne spojrzenie na swoje ramiona, białe, pulchne. ale nieświeże, jak gdyby chciała tem powiedzieć: Od takich marcypanów przecież się nie stroni. Więc i pan Walery zlustrował ją w moment. „Nie ma co mówić, ładna jest ze swą śnieżną szyją, ale jak na swoje dwadzieścia ośm lat mogłaby włożyć suknię mniej różową“.

Panna Jadwiga była kobietą stanowczo pięknie zbudowaną i bogato ubraną, ale zanadto deklamowała i ten niewłaściwy patos w połączeniu z nadzwyczajną pewnością siebie i mnóstwem pretensyj w ruchach i wyrazie twarzy, był przyczyną, że młodzież wielbiła ją całkiem na zimno. Lubiła przytem rozmowy „poważne“ i ludzi z nazwiskami głośnemi, więc przybycie pana Walerego ucieszyło ją jako sposobność do wykazania swej erudycyi i popisania się płynną a starannie modulowaną mową. On jednak zadrżał na myśl, że będzie musiał słuchać jéj wynurzań i sądów.

Natomiast dawał się pociągać twarzyczce jéj sąsiadki. Był to prawdziwy pączek. który w dodatku wprawiał Walerego w pewne zakłopotanie rysami trochę znajomymi. tak iż niewiedział jak się zachować, podać rękę czy też nie.

Ale pączek zalewając się ponsem. na którego tle niebieskie oczy cudownie błyszczały, wybawił go z nieprzyjemnej pozycyi, śmiałem, rezolutnem pytaniem.

— Pan mnie nie poznaje... swojej własnej uczennicy?

— Teraz na Walerego przyszła kolej zarumienić się. co też uczynił wcale nie gorzej od studenta. Bąknął więc szybko. przypominając sobie:

— Czyżby panna Runicz?...

— We własnej swojej osobie — odrzekła śmiejąc się filuternie.

— A . . . a . . . ja gotów byłem wziąć panią za kogoś innego.

— A to doskonale! — zachichotała jeszcze głośniej — rozumie się, jeżeli nie ja, to ktoś całkiem inny.

Pan Walery zmiarkował, że pączek przyprawił go o lekki zamęt. Łatwo mógł się zdradzić, że zrobiła na nim pewne wrażenie. Wiedział, że kobiety umieją z takich chwil korzystać. ażeby nabrać pewności siebie. z za któréj lubią ostrzeliwać mężczyzn, same zostając nietkniętemi. Co u licha, miałżeby jéj na samym wstępie dać przewagę? E... do tego chyba nie dojdzie.

Przybrał minę wesołą, postawę swobodną i uśmiechając się, rzekł podkreślając wyrazy:

— Czy tylko naprawdę występuje pani w osobie własnej?

— Jakto?... Nie pojmuję pańskiego pytania... Alboż można na wieczorku, który nie jest balem kostyumowym ani maskaradą, występować pod firmą cudzą?

— Naturalnie, że można. Niech pani zechce spytać swoich koleżanek. panny Żmichockiej, panny... jakże ona się nazywa... — tu pochylił zmarszczone wysiłkiem czoło — aha. panny Munke, no i tylu innych, a przekonają panią, że łatwo stracić można swoją osobę na rzecz... męża.

— Miałażbym się tak spieszyć? No, chyba sam pan przyzna, że niema czego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z liryki współczesnej.

(Jan Kasprowicz. — Anima Lachrymans. — Lwów 1894.).

Fizyonomja liryki współczesnej jest dziwnie jednostajną. Pomijając nielicznych autorów starszej już daty, trudno nam mianowicie wśród „najmłodszych“ wymienić potężniejsze indywidualizmy artystyczne, trudno wśród śpiewającej drużyny lirycznej znaleść talenta orginalne, które nie brzęcząc na lutni dźwięcznych melodyi z nut dobrze znanych nam mistrzów, noszą w własnych piersiach ożywcze źródło natchnienia. Podobnie, jak szkoła Parnasistów francuzkich, zdusiwszy rozczochranie zwyrodniałego romantyzmu, skupiła dążenia swoje około misternego cyzelowania formy, tak i nasza liryka utonęła w pracowitem jubilerstwie poetyckiem, maskując często drobiazgowem wykończeniem wiersza, przepychem barw i efektowną instrumentacyą ubóstwo myśli i uczuć. Nie zasklepili się wprawdzie polscy Parnasczycy — venia sit verbo — w kulcie sztuki czystej i w przeciwieństwie do francuzkich kuzynów lubią nurtować w głęb nach życia społecznego, ale ani potęga Byronowskiego Kaina, ani wiara „Psalmów“ Krasińskie o, ani ogrom natchnień Mickiewiczowskich nie bije z piersi Alceów i Safon współczesnych. Legjony cacek z serwskiej porcelany zalewają rynki literackie, a rzeźb Michała Anioła szukasz tam napróżno.

Wśród tej plejady liryków „najmłodszych“ zajmuje wyjątkowe stanowisko Jan Kasprowicz, syn kujawskiej ziemi, zrodzony i wykarmiony pod wieśniaczą strzechą. Gdy w roku 1889 ukazał się pierwszy tomik poezyi jego*) zajęła krytyka dwojakie stanowisko w obec młodego autora. Prasa liberalna zwróciła uwagę na niezwykłą siłę i oryginalność nowego talentu, — prasa zachowawcza natomiast zlękła się odważnego wolnodumcy, a nie mogąc zaprzeczyć utworom jego niepospolitej wartości, uzbroiła się w pancerz grobowego milczenia, pomna zasady: „Was nich totgeschrieen werden kann, muss totgeschwiegen werden“. Metoda ta jednak okazała się bezsilną w obec talentu kujawskiego śpiewaka, który mimo morderczej ciszy przeciwników swoich i krucyaty austryackiej cenzury, dojrzewał, rósł i potężniał.

Już w pierwszych poezyach Jana Kasprowicza objawiła się niezwykła głębia uczucia, która nie ujęta w ramy wytwornego artyzmu, miała w sobie urok górskiego strumienia, rwącego spienioną falą głazy skaliste. Stanął przed nami liryk — polemista z rumieńcem gniewu na licach, z niezłomną wiarą w ideały swoje z piorunami w zaciśniętej dłoni: Kainowska nuta takich utworów jak „Giordano Bruno, U piramidy Cestiusza, My a oni, Excelsior, W chwilach zadumy“ i t. d. płynąć tylko mogła z serca, które wiele cierpiało, wiele kochało i nienawidziło. Dekadenckim pesymizmem, uśmiechem bolesnej apatyi na wybladłej twarzy, nie jękły nigdy prawie te młodzieńcze strofy, — dusza poety nie kąpała się we mgle melancholii i w sennej rezygnacyi nie stuliła listków, jak lilja w zmroku wieczornym. Wszędzie życie, siła, walka i młodość, — i ten pesymizm, który wstrząsa zbutwiałemi filarami życia, ten pesymizm, który nie skarży się na wieczyste noce, lecz wierzy w świty promienne. I nawet wtedy gdy aksamitna ręka kochanki igrała z włosem poety, i nawet wtedy, gdy pocałunek lubieżny usta jego palił, on trubadurów melodyi słodkiej nie śpiewał, lecz nutą buntu społecznego się skarżył:

Pragnę! czy słyszysz? pragnę nici złotej
Na tym ponurym żywota krużganku;
Pragnę nadludzkiej do męczeństw ochoty,
Za którą w pierwszym tęskniłem poranku;
Pragnę och! zdjęcia tych znamion heloty,
Co mnie podają w pośmiech bez ustanku,
Gdy miasto wznieść się olbrzymem w obłoki,
Za swoją taczką padam w dół głęboki!

(Do Niej.)

Ta skarga powtarza się bezustannie w poezyach Kasprowicza, słychać ją w erotykach, słychać w melodyach biblijnych, słychać w zachwytach nad czarem przyrody:

Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Złotych promieni.
Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Błękitu.
Lecz zgniótł nas żywot skazańców,
I my znużeni,
Ach! zgniótł nas żywot skazańców
Bez bytu!

O witajże nam wiosenko,
Matko wesela,
O witajże nam wiosenko
Gorąca,
I białą roztaczaj ręką
Kobierce z ziela
I białą zapalaj ręką
Blask słońca. (Melodye Wiosenne.)

A obok tej nuty znamiennej, która brzmi niekiedy jak echo Słowackiego, pojawił się już w pierwszych poezyach Kasprowicza, jeden ton niezwykły, świeży i oryginalny. — Na temat motywów ludowych wyśpiewało liryczne ptactwo od czasów Brodzińskiego całe foljanty najrozmaitszych pieśni i piosneczek. Jedni sięgali do skarbca legend ludowych, inni w sielankowych zachwytach pieścili się ludem jak poetyczną zabawką, inni wreszcie potoki łez wylewali nad smutną dolą wieśniaczą, a wytworzywszy język sztuczny, niby — ludowy, snuli nim barwne obrazki na kanwie stosunków niezbadanych wszechstronnie i psychologii fantastycznej. Jedna Konopnicka zagra niekiedy jakiś dźwięk prawdziwszy, ale i u niej jest wiele blasków fałszywych. Kasprowicz pierwszy staje przed nami jako liryk-realista z pieśnią wysnutą z długoletniej obserwacyi ludu, jako chłopskie dziecko, z którego pilnik cywilizacyi nie starł do szczętu ludowego czucia, jako znawca ludowego języka, który niegdyś był jego językiem — ludowych pojęć, które niegdyś były jego pojęciami, — ludowych stosunków, które niegyś były jego stosunkami:

„Latem wolny zastąpi pastucha
A pod pachą Homery, Wirgile.
Ludzie czasem poszydzą niemile,
Lecz on pasie i ludzi nie słucha.“

Realizm Kasprowicza zajaśniał równocześnie w dwóch nie dość artystycznie wykończonych, ale mimo to górujących nad tłumem wszystkich kwileń ludowych utworach: „Świat się kończy“ (Dramat z życia ludu wielkopolskiego) i „Z chłopskiego zagonu“ (Opowiadania wierszem). Gdyby nużąca rozwlekłość obu tych kreacyi nie obniżyła ich wartości, gdyby doktryna realistyczna nie wpłynęła wręcz dezorganizująco na układ, powitalibyśmy w pierwszym utworze dramat o Tołstojowskiej głębi i potędze, a w drugim zapowiedź wielkiej epopei ludowej, na którą aż do chwili obecnej czeka napróżno literatura polska. Bądź co bądź jednak są oba te poematy orginalnem zjawiskiem poezyi współczesnej, burząc do szczętu wszystkie tęczowe osłony, modraczkowe wonie i dzwonkową muzykę wysnutych z ludowych motywów liryk i dramatów, i wprowadzając do literatury nowe żywioły ewolucyjne.

Zawarte w najnowszym tomiku Jana Kasprowicza (Anima lachrymans) „gawędy i opowiadania“ stanowią drugą seryą poezyi „Z Chłopskiego zagonu“. Wyjątkiem jest utwór p. t. „Maryan Olchowicz“, w którym dusza poety zmęczona pogonią za kluczem wielkich zagadek bytu, ogarnięta sceptycyzmem i ciszy pragnieniem, skarży się w mętnych alegoryach, o fizyonomii Shelleyowskiej, na ludzką bezsiłę. Pomijając ten poemat mglisty, a ujęty w zawiłe wiązania, znajdujemy w cyklu „gawęd i opowiadań“ interesujące obrazki z życia ludu wiejskiego, sceny z wielkiego padołu nędzy chłopskiej, ilustracye ludowych pojęć, zwyczai i stosunków. Charakterystycznem znamieniem tej oryginalnej poezyi jest forma przystósowena ściśle do treści, forma pozbawiona niekiedy wszelkiej melodyjności, nieskrępowana szkolnemi prawidłami, urywana i poszarpana, twarda i szorstka. W tak dziwnie zbudowanych strofach nabiera właśnie język ludowy indywidualnego życia, atmosfera karczmy i chałupy mózg nasz ogarnia, realizm chłopski przestaje być dla nas w poezyi sztucznym produktem.

„Od piekła
Prawdziwie jesteś rzempoło!
Myślisz zapewne, że ci duszę gołą,
Jak mysz zleniałą, wypocę?!
Skrzypka się wściekła:
Zwolnijże z tonu, da! zwolnij,
Da! okrągłego da! pójdę, jak w młynku!
Hej! dni'ć ja harał, hej! harał ja noce,
I cóż wyharał?...
Wódki wygolnę!
Wczoraj wygnali z roboty!
Mój Boże złoty,
I cóż ja zrobił, żeś dzisiaj tak nędzę
Skarał?
Na łeb, kto zadrze, wypędzę,
Z szynku!...

A wtedy nawet, gdy nie chłop kujawski, lecz sam poeta odzywa się do nas, uderza gawęda w ton chłopskiego opowiadania, choć myśli i krytyka na wyższym stoją poziomie. Łączenie i budowa zdań, obrazowość, rozumowania praktyczne są żywem ludu odbiciem, a ztąd koloryt poezyi jest niewątpliwie ludowym, lubo język ich nie nagina się stale do ludowych zwrotów i wyrażeń. O ile sobie przypominam to autor w przedmowie do dawniejszych poezyi swoich zdawał sobie sprawę z organicznych błędów budowy i zasłonił się przed zarzutem tasiemcowej techniki względami na realizm gadatliwości chłopskiej. Puklerz ten, ukuty z formułki realistycznej, nie jest jednak żelazną osłoną, bo z tą samą chwilą, w której sztuka staje się „samą naturą“, traci i cechy artyzmu, o czem niestety zapomniało wielu nowoczesnych naturalistów niemieckich, o czem pamiętać powinien kujawski poeta.

W pierwszej połowie nowego tomu poezyi Kasprowicza (Anima lachrymans, Pod sklepieniem niebios, Impresye, Z areny publicznej, Ezechiel) uderza nas przedewszystkiem owo charakterystyczne „Pół tonu niżej!“, owo obniżenie namiętności polemicznych i młodzieńczej wiary, które wraz z uwiędłemi kwiatami wiosny staje się duszy ludzkiej muzyką. Wypalonym wulkanem nie jest to serce, które wyśpiewało „Anima lachrymans“, ale czasem drętwieje ono z boleści, a gdy się skarży, gdy pragnie i pożąda, to już nie ciska przekleństwem, nie grozi niebu, nie szamoce się w konwulsyach protestu. To zwykła kolej rzeczy. Któż z nas nie marzył o tem, aby „z posad odwiecznych wysadzić bryłę świata“, któż nie miał Tytanicznych porywów i z „Odą do młodości“ na ustach zdusić nie pragnął „hydry stugłowej“? A potem... potem jedni zaskorupieli w bezdusznym kwietyźmie, a inni z szlachetnego urobieni kruszcu, skrzydła do spokojniejszego lotu rozwinęli, i mimo rozczarowań, mimo chłodu, który ich ogarnął, kochają tych

„których jęk stłumiony
Dziś do niebieskich szczytów nie dobija,
Lecz się po ziemi wije i skroplony
W krwawe rubiny, napowrót się wpija
W serca nieszczęsnych jak w swą zdobycz żmija“

i tych miłują „co przed zorzą dnia jutrzejszego padną“ i nędzę ludzką i łzy. Są oni jak „rzeźby o liniach spokojnych, kryjące w swoim spokoju płomienny żar ducha“, są oni jak śpiewak, który niegdyś trząsł kolumnami społecznego gmachu, wołając w burzliwej ekstazie:

„Śmierć albo życie! jedna ostateczność:
„Dalej! dziejowa zmusza nas konieczność!

a dziś ani pragnąć, ani kochać nie przestał, choć się nie miota jak huragan dziki. „Anima lachrymans“ skarży się gorzko na życie, a skarży się nieraz w tak porywającym śpiewie, że dźwięk Leopardiego silniej nie targnie za struny serdeczne. Znaliśmy Kasprowicza jako śpiewaka buntu — dziś poznajemy go jako śpiewaka boleści z namiętną skargą i błogosławieństwem na ustach:

„Bądź pozdrowiona, o! ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
Boleści.“

Słowa te są niejako prologiem do poezyi cierpienia, które rozpłakana dusza poety wyśpiewała. W cyklu tym znajdują się prawdziwe klejnoty, tryskające niezrównanym blaskiem i ujęte w wytworną oprawę. Prześliczne sonety p. t. „Rozpacz“ i rzewny wierszyk „Nie żałuję“ są takim szczękiem skrwawionego serca, — bez kokieteryi bólu i bez afektacyi, że — skarga ich wpija się w serce jak melodya Szopenowskiego „Marche funèbre“. Słabszym, mianowicie pod względem formy, jest szereg poezyi p. t. „Im-

*) Poezye. Lwów. Biblioteka Mrówki. 1889.

presye", — rodzaj owej niemieckiej „Strassenlirik", uprawianej z powodzeniem przez Karola Bussego. Jest tu wiele dźwięków fałszywych i koloryt chybiony, czasem wręcz niesmaczny. Natomiast w cyklu „Z areny publicznej" i „Pod sklepieniem niebios" jaśnieje znowu talent Kasprowicza w całej pełni. Tu żołnierz w bojowym rynsztunku staje na szańcach, lub śpiewak rozmodlony przed ołtarzem natury dumy swoje nuci. Gdy walką strudzi się rycerz, wtedy idzie ukorzyć się w panteistycznym zachwycie na kujawskie pola i słucha jak bociany klekocą i przepiórka bije, jak sosny szumią w ciszy letniego wieczoru i wicher jesienny las z uśpienia budzi. Jan Kasprowicz zna, rozumie i kocha muzykę przyrody, która czarem swoim wykarmiła i rozśpiewała duszę dziecięcia ludu, niegdyś pastuszka z fujarką w ręku, a dziś jednego z pierwszych liryków współczesnych.

Dr. Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(Opinia publiczna i nasza obłuda.)

„Gniazdo rodzinne" na scenie, — kurtyna po raz ostatni zapada, jęk Magdaleny wpił się w duszę moją. Słyszę oklasków dźwięk suchy, widzę usta rozchylone okrzykiem i oczy wytężone ku arenie wspaniałego dramatu. Ale... „to już wszystko było", — takie urzędowe, szablonowe i konwencyonalne. Braw frenetycznych huragan wita każdą wędrującą kometę, czy jej na imię Lüde, czy Marcello, czy blask słoneczny potężnego talentu scenę opromienia, czy tylko jaskrawa rakieta oślepia źrenice. Poziom naszéj gościnności i naszego zapału jest zawsze równy — oto! szkoła prasy Poznańskiéj, dla której każdy artysta w wilią benefisu jest olbrzymem, każda gwiazda warszawska, lwowska lub krakowska samą Melpomeną. Granitowéj równomierności entuzyazmu naszego nie zachwieje ani rozmaitość scenicznego talentu, ani wartość dramatycznego utworu, bo chociaż „Gniazdo rodzinne" było jedną z najwspanialszych premier w dziejach teatru miejscowego, widziałem równe zachwyty po „Adriennie", „Żywym posągu" i „Damie kameliowéj. Żadnego spotęgowania, żadnego obniżenia! Fizyonomia widzów w sukniach i surdutach, z bukietami i bez bukietów, nosiła zawsze niezmienną cechę urzędowo-radosną, i gdyby ktokolwiek rzucił mi w teatrze pytanie, czy mistrz niemiecki rozpłomienił słuchaczy ideą dramatu, powiódłbym okiem badawczem w około i szepnął: Nie wiem, przyjacielu!

Lecz muzyka sztuki wciąż grała mi w duszy i gdybym mógł słowem zaklęcia zamienić ją w orkan porywający wszystkich naokół, byłbym to słowo wyśpiewał... W bolesnéj zadumie opuszczam teatr. Grono przyjaciół zbliża się do mnie z okiem płomieniącem blaskiem zachwytu; mówimy o potężnym indywidualiźmie Magdaleny, o klatkach społecznych, w których wesoło świegotają szczygły a orzeł szponami rozłamuje kraty, o wielkich samotnikach, którym świszczy nad uchem bicz opinii publicznéj, o zdawkowéj etyce tłumu i o nas samych, którzy karku ugiąć nie chcemy pod kaudyńskie jarzmo patentowanych przekonań. Skargę i dźwięk protestu słychać w dyspucie młodych marzycieli, a melodya ta dzwoni dysonansem w harmonii śmiechu i wesołych żartów, która króluje wśród teatralnéj publiczności, spieszącéj na herbatę do modnéj cukierni.

Nagle cisza zapanowała w ustroniu entuzyastów. Opodal na kanapie zasiadło grono naszych stróżów moralności, a ucho moje podchwyciło wątek ciekawéj rozmowy.

„Ten inport warszawski — mówił jakiś pan z uroczystem namaszczeniem — to prawdziwa plaga. Marcello dała nam „Koniec Sodomy", a Lüdowa „Gniazdo rodzinne". Pojąć nie mogę, jak artystka pierwszorzędna może sobie upodobać obrzydliwy typ Magdaleny. Toż to drwiny prawdziwe z czwartego przykazania, apoteoza występku, rękawica rzucona najświętszym uczuciom."

„Tak! tak! łaskawy panie! — przerwała jakaś jejmość o śpiczastym nosie, matka dwóch panien na wydaniu — to okropna kobieta! Jaki to przykład zgubny dla córek naszych! Nie! ta Warszawa, to prawdziwa Sodoma."

„Bo, proszę Pani — mówił znów pan uroczysty — takie sztuki podsycają tylko płomienie buntu społecznego. Młodzież dzisiejsza drwi sobie z tradycyi, wyłamuje się z karbów ojcowskich i każdy protest przeciw uznanym zasadom moralnym podnosi do wyżyn najwznioślejszéj cnoty. Świątynia narodu, z naszych własnych zbudowana kieszeni, staje się gniazdem zepsucia."

O! etyko tłumu szerokiego, jak ty mnie pognębiasz głębokością twoją. Masz tysiące ramek gotowych, które prezentujesz dzieciom tego świata i mówisz głosem piorunowym: „Kurczcie się najmilsi! Bicie serc waszych niechaj będzie jak tyktak zegaru. Nie sięgajcie po gwiazdy i słońca promienie, bo ja z kagankiem dymiącym w ręku powiodę was szerokim gościńcem. Bądźcie zawsze zimni, ostrożni i potulni, bo gorętsze porywy i uniesienia wiodą na manowce. Niech strój wasz będzie modny i mózg fasonowy, a gdy staniecie do szeregu, niechaj z was będzie legion mundurowy.

I daléj mówi opinia-królowa:

„Kurczcie się najmilsi! A chociaż w ramkach etyki mojéj i ciasno i duszno, ja dla was ożywczą zgotuję biesiadę z orderów, tytułów i gwiazd brylantowych. Skronie wasze przystroję w laurowe korony, u stóp intrantne złożę synekury, każdy szanujący się dziennik mówić o was będzie: „znany... zasłużony!", a gdy umrzecie, dwułamowy nekrolog czeka nieboszczyków."

Słyszycie? Melodyą ponętnych obietnic kusi was Circe. Śmiało więc tłumie praktyczny! pląsaj i tańcz przed tronem hojnéj czarodziejki, a gdyby nawet taniec ten lubieżny w legendowe zmienił cię stworzenie, sierść twoja złotą łuską się pokryje, na srebrnych misach strawę ci podadzą i rechotanie twoje brzmieć będzie w uszach milionów jak harfa Eola. Szczęśliwy tłumie! Tobie duchy zwątpienia w ucho nie szepcą Faustowskich zagadnień, ty w katechiźmie swoim masz gotowe formułki, które są kluczem uniwersalnym w dziedzinie etyki, psychologii i życia społecznego, a gdyby kiedyś znalazła się luka ambarasująca, ty zwrócisz oczy na urzędowe powagi i usłyszysz nową formułkę, która odtąd stanie się dla ciebie dogmatem, — przynajmniéj na zewnątrz. O! bo opinia publiczna nie żąda szczerości, dla niéj wystarczą pozory. W duszy wolno ci się zachwycać Wolterem i Darwinem, wolno ci pieścić się gryzącym sarkazmem Heinego i lśniącą negacyą Aleksandra Świętochowskiego, ale ex cathedra, w salonie, wśród ludzi nie wypada ci nazwisk tych wymienić bez uroczystego anatema. Ty jesteś przyzwoitym człowiekiem, a przyzwoitość gardzi „światoburcami". Tam w ciszy własnego mieszkania, gdy nikt na ciebie nie patrzy, wolno ci z błogim uśmiechem wyższości ręce zacierać i mruczeć pod nosem słowo dowcipnego Włocha: Ed io li buggero tutti! — „a ja oszukuję ich wszystkich", lecz niechaj szept ten będzie, jak westchnienie.

Są jednak i mniéj ostrożni. Są tacy, którzy w zaufanem kółku, gdy węgrzyn język rozwiąże, przyznają się do rozmaitych niecenzuralności i głoszą zasady, którychby się nie powstydził cynik najczystszéj wody, ale nazajutrz stroją się w togę „przyzwoitości" i z ewangelicznem namaszczeniem klepią formułki swoje. Zdarzyło mi się nieraz w poufnéj gawędce z obywatelstwem poznańskiem rozpatrywać sporne kwestye etycznéj lub społecznéj natury. — słyszałem nutę szczerości, oddźwięk własnych przekonań, wyraźny protest przeciw zdawkowym sądom, któremi handluje opinia publiczna. A w kilka dni późniéj, gdy na liczniejszem zebraniu dotknąłem drażliwych tematów, uczułem nagle, że ciągną mnie ukradkiem za poły surduta, pod stołem nogą trącają i powieki swoje mrużą rozpaczliwie. Potem nastąpiło chrząkanie, ktoś mówić zaczął o nowych nabytkach zoologicznego ogrodu lub dywidendzie tramwajów poznańskich, a na stronie szeptano niezawodnie o „niesłychanym beztakcie i efronteryi mojéj".

Obłudo! ziele trujące, jak ty się bujnie krzewisz w naszem bagnisku społecznem. Ale oto! uwiłem sobie bicz z serdecznéj ironii i masce twojéj rzuciłem rękawicę. Wiem, że na usługi swoje masz całą zgraję syczących wężów, wiem, że niejeden luminarz miasta i prowincyi zacytuje mnie przed swój trybunał i pod pręgierzem opinii umieści, ale wierzcie mi najserdeczniejsi: ta „haine massouvie" nie wzrusza mnie wcale. Będę przynajmniéj w dobrem towarzystwie, będę wśród ludzi, o których Goethe mówi:

Die wenigen die was davon erkannt,
Die töricht g'nug ihr volles Herz nicht wahrten
Ihr Schauen, ihr Gefühl dem Poebel offenbarten,
Hat man von je verketzert und verbrannt.

Naprzód więc! Niechaj się bój rozpoczyna. Dziś garstka tylko duchów płomiennych stoi **„na wyłomie"**, ale gdy padną, z krwi ich nowi powstaną rycerze i Termopile w Salamis się zmienią.

Bakonowskie hasło „Knowledge is power" nie wyczerpuje zadania naszego, bo rozświetlanie mózgów byłoby zgubną połowicznością, gdyby zachwaszczona uczuć niwa odłogiem leżała. Bój nasz jest również etycznéj natury, a chociaż nie wątpimy ani na chwilę, że starcia takie są może najkrwawsze i najniewdzięczniejsze, chociaż nie łudzimy się nadzieją, że nałóg wykarmiony na przestrzeni lat długich wyszarpie jedna minuta, godzina lub rok jeden walki, to przecież nikt z nas nie zdradzi sztandaru. Jest coś kuszącego w ogromie zadania, jest urok magnetyczny w tym Spartańskim boju i w téj groźnéj potędze kolosu opinii, która dziś ugiąć się nie chce, lecz kiedyś ugiąć się musi. To nasza wiara... to nasz fanatyzm, a bez nich nie ma zwycięstwa.

Sulla.

Szkoła i wychowanie.

Reformy szkolne dwudziestego wieku.

Kto pierwszy nazwał dzieciństwo złotym okresem życia, powinien niebu składać dzięki za to, że mu do końca dziewiętnastego wieku dożyć nie dozwoliło.

Gdyby żył dzisiaj i patrzał na wzrastające pokolenie przyszłych ludzi, na te wybladłe twarze, na te wątłe postacie wysuszone w drukowanej bibule, jak zwiędłe rośliny między kartkami zielnika, gdyby widział te wielkie fabryki rozumów, które my z dumą naszemi szkołami nazywamy, a z których jednostka ludzka, kwitnąca życiem i zdrowiem, po dziesięciu latach wychodzi spaczona i wykrzywiona moralnie i fizycznie, zdolna do zdania wszelkich egzaminów, lecz do życia niezdolna, — płakałby nad dziećmi współczesnemi i nad społeczeństwem, które na nich swą przyszłość opiera. Nie, dzieci nasze szczęśliwemi nie są. Czynimy tyle dla ich dobra, tak usilnie, tak mozolnie pracujemy nad niemi, a jednak zatruwamy im nie tylko ich młodość, lecz zamykamy im drogę do szczęścia w przyszłości. „In deiner Brust sind deines Schicksals Sterne". Piękne te, pełne głębokiej prawdy słowa wypowiedziano w epoce niedalekiej, lecz całkiem odmiennej od naszéj — i całkiem odmiennym hołdującej ideałom. Dziś zbyt często zapominamy o nich — a jeśli nam to szkodzi osobiście — w naszem prywatnem życiu, — to o ileż gorszymi są skutki tego zapomnienia wtedy, gdy jako wychowawcy przyjmujemy na siebie odpowiedzialność za losy przyszłych pokoleń. W dzieciach, nad któremi pracujemy, widzimy połączone wszystkie zdolności, zalety i talenty — dajemy im wykształcenie ogólne i fachowe, chcemy z nich uczynić uczonych, obywateli, pracowników, artystów, mężów stanu — nie zastanawiamy się jednak nad tem, czy będą szczęśliwymi ludźmi, czy w duszach ich znajdą się konieczne pierwiastki siły, zapału i wiary, czy gwiazdy ich losów jasno płonąć będą, czy ich drogę blaskami promiennemi oświecą.

Celem wychowania jest rozwój jednostek pożytecznych i szczęśliwych. Dziś pamiętamy tylko o pierwszem, pomijamy drugie. Ciasny i płytko pojęty utylitaryzm przenika nasze wychowawcze systemy i, nie ubliżając dobrym chęciom współczesnych pedagogów, wychowujemy dziś dzieci tak, jak rolnik hoduje zwierzęta domowe, tj. ze względu na pewien specyalny z nich użytek.

Ponieważ w owcach ceni wełnę, w wołach mięso, w gęsiach smalec, więc każde z tych stworzeń odpowiednio żywiąc, otrzymuje to, czego mu potrzeba, i osięgnąwszy swój cel — nie pyta o zadowolenie owiec, wołów i gęsi. Ponieważ zaś społeczeństwo potrzebuje od ludzi przedewszystkiem inteligencyi i pracy, więc też usilnie hoduje rozum, uspasabia wychowańca do danego zawodu, a po za tem nie troszczy się bynajmniej o to, jaką drogą pójdzie ogólny jego rozwój. Ale społeczeństwo chybia celu, system szkodliwy dla jednostek pożytku ogółowi przynosić nie może, gdyż z jednostek ogół się składa. Wykształcenie umysłowe, które w zasadzie zaledwie jednę małą cząstkę wychowania przedstawia, dziś nie tylko pierwszorzędne zajmuje w niem stanowisko, ale rozpościera się tak wszechwładnie, tak bezwzględnie reguje resztę na plan ostatni, jak gdyby ono samo o całym rozwoju człowieka decydowało. Nawet w mowie potocznej nie robimy już prawie różnicy między wychowaniem a wykształceniem a ogół zastanawiający się głębiej, przywykł te dwa pojęcia jako identyczne uważać. Ta drobna na pozór pomyłka językowa świadczy o wielkiem spaczeniu wyobrażeń, jest wynikiem jednostronnego kierunku, który wszechwładnie zapanował w końcu dziewiętnastego wieku i ogromnym ciężarem spadł na barki młodych współczesnych pokoleń. Z tych drobnych istotek, które zapędzamy do książki, gdy ledwo od ziemi odrosną, które całą młodość swą nad drukowaną spędzają bibułą, których mózg rozwija się kosztem reszty organizmu, a rozum kosztem charakteru, których całe życie streszcza się w wyrazach: „nauczyć się i wydać lekcyą“ — nie mogą wyrastać jednostki normalne, zdrowe i silne — fizycznie i moralnie, odważne i szczęśliwe. Mimo najlepszych naszych chęci czynimy im krzywdę, której nam nie darują i pamięci naszej zaprawdę błogosławić nie będą.

Reakcya przeciw temu kierunkowi zaczyna się już dzisiaj: w programach szkolnych zmian dotąd nie ma — oficyalnie trzymamy się starych i przeżytych zasad — jednakże wśród sfer interesowanych, a myślących podnoszą się głosy buntu, matki i ojcowie drżą na myśl o tem, że dzieci swe poddawać muszą pod system, którego zgubne skutki sami odczuwają nieustannie. Zanim świadomość obecnych błędów ogólną się stanie, zanim do pożądanych reform doprowadzi — zapewne wiele lat jeszcze upłynie, — charakter jednak tych reform dziś już do pewnego stopnia określić można.

Chcąc na chwilę oczy odwrócić od smutnego obrazu szkół dzisiejszych, rzućmy okiem w przyszłość i starajmy się choć w przybliżeniu odgadnąć, jak nasze dzieci, swoje dzieci wychowywać będą.

Przedewszystkiem żadna matka dwudziestego wieku nie pozwoli na to, aby jej dziecko już w 6-tym roku życia do pracy szkolnej zapędzano. Przedwczesna znajomość z książką, uznaną zostanie ogólnie za rzecz zgubną i niebezpieczną, a rozumni rodzice nie będą szukali w tem chluby (jak to się dzisiaj często zdarza), że ich 4-ro lub 5-letni malec litery poznaje, sylabizuje lub co gorzej płynnie czytać umie. Rozpowszechni się bezwątpienia zdrowa zasada, że dziecko powinno przedewszystkiem nauczyć się patrzeć, słuchać, myśleć i mówić, własne pojęcia własnemi wyrazami określać, zanim cudze w druku poznawać zacznie. Książka nie będzie dla przyszłych pokoleń jedynem źródłem mądrości życiowej ani środkiem do hamowania wybuchów dziecięcej wesołości. Jak dziś potępiono kołyskę, wynalazek zresztą bardzo dla rodziców dogodny, gdyż ucisza denerwujący płacz niemowlęcia, tak w przyszłości zdegradują książkę i matka, która każe dziecku czytać, aby jej zapytaniami nie nudziło, za niemiłosierną egoistkę uznaną zostanie. Mimo to, wychowanie nie będzie więcej uciążliwem, niż obecnie, zważywszy, że nie będzie się trudziło niepotrzebnem i forsownem rozwijaniem umysłu, który sam się jeszcze nie budzi. Dzieciom, w najmłodszych nawet latach pozostawią więcej samodzielności i pozwolą im się bawić własnym pomysłem, nie wkraczając natrętną interwencyą w tę dziedzinę ich życia, która wyłącznie do nich należy i daje im pole do rozwinięcia pewnej fantazyi, energii i twórczości. Działanie wychowawców w tym kierunku ograniczy się jedynie na zapobieganiu nieszczęśliwym skutkom dziecięcej głupoty i nieświadomości — wreszcie na powstrzymywaniu i karceniu nagannych postępków. Być może, a jest to nawet bardzo prawdopodobnem, że umysł, który nie wysili się za młodu, później z większą energią pracować będzie w stanie. Słyszałam zdanie, że cały kurs gimnazyalny przejśćby można w okresie czasu o połowę krótszym, niż obecnie przyjęty, byleby o kilka lat później zabrać się do pracy z umysłem świeżym, już rozwiniętym i nie wyczerpanym przedwczesną pracą. Bardzo trudno w czasach obecnych, w epoce przymusu szkolnego sprawdzić słuszność tego twierdzenia. Jakkolwiek więc mam mocne przekonanie, że na opóźnieniu szkolnej nauki zyska niewątpliwie umysłowy rozwój człowieka, przyjmę z góry jako pewnik, że zmniejszenie zakresu wykształcenia będzie koniecznym pierwszej reformy wynikiem. Ubolewać nad tem nie ma potrzeba. Kiedyś bezwątpienia ogół przyjdzie do przekonania, że dzieci nasze nie tylko zawcześnie uczyć się zaczynają, lecz bezwarunkowo za wiele się uczą.

Któż z nas ludzi dorosłych, tych nawet, którzy do inteligencyi się zaliczają, czuje się dziś na siłach do zdawania egzaminu z każdej klasy gimnazyalnej? Któż z nas umie to wszystko, co umieć powinien pod grozą pałki uczeń szkół publicznych? Jednakże nikt przecież twierdzić nie może, aby gimnaziści mędrszymi byli od ludzi dorosłych i czoło inteligencyi krajowej stanowili. Przyznajmy wprost, że w klasie w obec uczniów kładziemy wielki nacisk na rzeczy, które lekceważymy sami i choć wiemy dobrze, iż można być bardzo rozumnym człowiekiem, nie pamiętając ani nazwisk cesarzów rzymskich, ani wysp Oceanu Spokojnego, nie umiejąc ani spondeja od trocheja, ani granatoedra od oktaedra rozróżnić; w dzieciach te wiadomości cenimy nadzwyczaj wysoko i dajemy im do zrozumienia, jakoby one właśnie główną wartość ich umysłów stanowiły. Uważamy za rzecz całkiem normalną i godziwą, żeby ktoś lata całe trawił nad mozolnem przyswajaniem sobie tysiąca rozumowych nabytków, które najdalej w rok po wyjściu ze szkoły bezpowrotnie traci. Nie przeczę, iż pewnej kategoryi uczniów jakaś część zdobytej nauki przydać się może; dla czegoż jednak wszyscy mają się męczyć nad obkuwaniem lekcyj, które tylko niektórym pożytek przynoszą? Większa część mozolnej pracy w szkole poświęconą bywa na wyuczanie się różnych rzeczy na wszelki przypadek. Nie wpływają one zbawiennie na umysłowy rozwój, nie rozjaśniają poglądu na świat, stosunki życiowe, nie stanowią pożytecznych wskazówek, ale jedne z nich mogą być potrzebne przyszłym literatom, inne prawnikom, przyrodnikom, lekarzom lub kupcom — wszystkiem zaś dają uczniom, którzy kończą gimnazyum, tę niby bardzo ważną korzyść, że po złożeniu egzaminu mogą wybierać sobie którykolwiek z uniwersyteckich fakultetów lub działów politechniki. Tym, którzy kończą, mówię, co zaś zrobią ci, którym środki pieniężne lub umysłowe zdolności na przejście dziesięciu klas gimnazyalnych nie pozwalają, — o to dzisiejsi pedagodzy nie troszczą się wcale, choć dane statystyczne wykazują, że ci właśnie większość i to znaczną większość stanowią. Postawmy się w położeniu chłopca, który skończy przypuśćmy cztery klasy i wskutek tego zna naprzykład historyę starożytną i średniowieczną aż do wojen krzyżowych, geografję trzech części świata w ogólnych zarysach, początki pięciu języków, z których żadnym dobrze mówić ani pisać nie umie itd. Cóż zyskał na czteroletnim swym pobycie w szkole? Nic, zupełnie nic. Całkowity kurs gimnazyalny — to za wiele dla każdego, — część jego stanowczo nikomu wystarczyć nie może. Jakaż na to rada? Złe leży w tem, że dziś nie robimy zupełnie różnicy między średniem wykształceniem ogólnem, stanowiącem część wychowania, a nauką przygotowawczą, torującą wstęp do zakładów specyalnych. Podział szkół na te dwie kategorye bezwarunkowo nastąpić musi w chwili, gdy będziemy chcieli stanowczo położyć kres przeciążeniu szkolnemu. Powstanie wtedy cały szereg średnich zakładów naukowych, których jedynym celem będzie rozwój umysłu i rozszerzenie pojęć ucznia. Zasób wykształcenia wyniesiony ztamtąd, choć skromny i nie imponujący, stanowić będzie pewną skończoną, zaokrągloną całość. Przyda się on zarówno przyszłym rolnikom, rzemieślnikom, adwokatom lub kupcom, bez względu na ich zawód lub stanowisko, gdyż nie wytworzenie uczonych lub specyalistów, ale rozwój harmonijny człowieka mieć będzie na celu. Dopiero po ukończeniu 4 lub 5-letniego kursu szkoły średniej odsyłanoby uczniów do zakładów przygotowawczych, w którychby się do słuchania kursów specyalnych przysposabiali. O ile zaś skromnym, nieobfitym będzie zasób, którym średnie wykształcenie zbogaci, o tyle doskonalą powinna być metoda. W szkołach tych historyi nie będzie uczył historyk, ani gramatyki lingwista, lecz wszystkich tych przedmiotów wykładać będą pedagogowie z zawodu. Warunek to bardzo ważny. Dziś już uznajemy w zasadzie, że największą zaletą profesora nie jest umieć wiele, lecz umieć uczyć, w praktyce jednak nie wymagamy od niego nic więcej prócz znajomości gruntownej danej gałęzi wiedzy. To właśnie w znacznej mierze przeciążenie wywołuje; każdy bowiem z panów profesorów przeceniając znaczenie własnego przedmiotu, ulega złudzeniu, iż kształci sobie przyszłych kolegów w umiłowanym przez siebie naukowym zawodzie. Botanik sądzi, iż nie można być rozumnym człowiekiem, nie znając dokładnie klasyfikacyi roślin, historyk nie daruje dzieciom ani jednej daty, lingwista uważa sobie za święty obowiązek każde „o“ kreskowane wywodzić z sanskrytu lub praryjskiego języka. Żaden z nich zresztą nie zdaje sobie sprawy z tego, iż koledzy silną w umysłach dzieci robią mu konkurencyę a zdolności uczniów paść mogą ofiarą tych profesorskich wyścigów. W szczegóły przyszłych programów szkolnych wchodzić dziś nie można. Ci, co je kiedyś układać będą, zwrócą baczność na to, aby je do koniecznego minimum ograniczyć, pracą domową uczniów nie przeciążać, a pracę w szkole jak najłatwiejszą uczynić. Na to, aby dziecko od otwarcia do zamknięcia powiek, jak dziś, nad książką ślęczało, nie pozwoli bezwarunkowo uczucie ludzkości i miłosierdzia w społeczeństwie dwudziestego wieku. Po za godzinami na pracę przeznaczonemi, wychowańcy będą mieli dość czasu na gry i zabawy, na oddawanie się jakim ulubionym zajęciom, wreszcie na czytanie książek dla własnej przyjemności. To ostatnie jest także koniecznem i także stanowi ważną część wykształcenia. Kto wie, czy nauka literatury tą drogą z najmniejszym trudem, a największym pożytkiem osięgnąćby się nie dała. Faktem powszechnie znanym jest, że największe arcydzieła nie wzbudzą nigdy entuzyazmu ucznia, jeśli w klasie a zwłaszcza z komentarzami czytane będą, natomiast te same książki, gdy je wprost dać dzieciom do ręki, silne i trwałe wrażenie wywierają.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZEMYSŁ I HANDEL.

O gazowych kolejach miejskich.

Gdy urządzenie powszechnej wystawy krajowej we Lwowie w r. 1894 ostatecznie uchwalonem i zatwierdzonem zostało, rada miasta Lwowa wcześnie doszła do przekonania, w jak wysokim stopniu dogodna komunikacya pomiędzy śródmieściem, a placem wystawy do sukcesu jej przyczynić się może. Uznano też od razu, że dotychczasowy sposób lokomocyi, ogranicza-

jącej się na 6 kilometrach kolei konnej, obarczonej już w samem założeniu wielu brakami i niedogodnościami, wystarcza wprawdzie w normalnych stosunkach 130,000-cznej liczbie mieszkańców Lwowa, z których każden przeciętnie 17 razy do roku tramwaju używa, ale niedostatecznym okazać się musi w obec ruchu zwiększonego napływem obcych w czasie wystawy. Postanowiono zatem tak ze względu na wystawę samą, jak i na wzmagające się, bądź co bądź, z dniem każdym wymagania rozrastającego się choć powoli miasta, dziś istniejący rodzaj komunikacyi rozszerzyć i powiększyć lub dopełnić go nowym.

Przedłużenie dzisiejszej linji kolei konnej nie przedstawiało dla miasta żadnej korzyści, przeciwnie narażało je na znaczne straty i powiększenie rocznych wydatków przez wielkie nakłady na utrzymanie bruków ulicznych, jako najuciążliwszego paragrafu kontraktu z kompanją tramwajową. Również nie opłacałaby się kolej miejska parowa, albo o powietrzu skomprymowanem (system Poppa), lub ogrzanem (system Fraudey'a). Kolei zaś linowej stawał na przeszkodzie górzysty teren miasta, a może i jego amerykańskie pochodzenie, dla którego konserwatyzm nasz polski ma nieprzezwyciężoną odrazę. — no! a kogoż potępiać można za wrodzone uczucia!

Tak więc po odrzuceniu wyżej wspomnianych systemów pozostały do wyboru tylko dwa: kolej elektryczna i gazowa, które też pod ściślejszą wzięto rozwagę. Pierwszy, znany już dzisiaj dostatecznie, a zaprowadzony w wielu miastach, j. n. p. w Hali, Gera, Kijowie, Wrocławiu, odznacza się prędkością jazdy, możliwością szybkiego zahamowania lub zwolnienia, spokojnym biegiem wagonu, łatwością przezwyciężania pagórkowatych terenów, oraz umiarkowaną liczbą personalu wagonowego. To też system taki musiał odrazu znaleść wielu zwolenników, którzy jednomyślnie zgadzali się na wykluczenie popędu za pomocą akumulatorów lub dobrego doprowadzenia prądu elektrycznego, jako systemów, z których pierwszy nie dość jeszcze jest udoskonalonym, drugi zaś nadmiernie drogim, natomiast zaś na pobudowanie kolei miejskiej z górnem doprowadzeniem prądu elektrycznego, a więc na sposób wrocławskiego tramwaju. Przeciwnikiem atoli tego projektu był baron Gostkowski, prof. politechniki lwowskiej, który na mocy szczegółowych badań i doświadczeń przemawiał za pobudowaniem kolei gazowej, systemu zupełnie nowego, tanio i ekonomicznie pracującego, a którego zwycięstwo nad tramwajami elektrycznymi zdaniem jego zwolenników, (odznaczających się co prawda, jak wszyscy pionierzy nowych myśli, nie małą dozą optymizmu), ma być kwestyą zdecydowaną. Tymczasem zaś musiała kolej gazowa we Lwowie uledz przewadze zwolenników tramwaju elektrycznego, którego budowę uchwalono i firmie Siemensa & Halske z Wiednia powierzono, a której wykończenia i otwarcia około połowy maja spodziewać się należy.

Mimo porażki, którą system gazowy świeżo poniósł we Lwowie i młodocianego swego wieku, zdaje się on mieścić w sobie wiele sił żywotnych, a pod zgliszczem przez niedowiarków nań rzuconem tlejącą i niewygasłą iskrę życia, która rozdmuchana ustami reklamy i ręką przedsiębiorczą zajaśnieć wkrótce i uznanie powszechne znaleść może. Jako więc o nowości mogącej zainteresować szersze koła, przytaczam tu o tym systemie słów kilka, opartych na broszurce prof. Gostkowskiego, temat ten poruszającej.

W roku 91 skonstruował w Dreźnie inżynier Zühriğ wagon tramwajowy, własnego pomysłu, poruszany machiną gazową i przedsięwziął nim szereg prób, które pod każdym względem pomyślny wydać miały rezultat. Wagon ten na sposób zwyczajnych wozów tramwajowych zbudowany, pomieścić może 26 osób, a waży wraz z machinami, całem urządzeniem i pasażerami 8,5 ton. We wnętrzu wagonu wykwintnie urządzonego znajdują się dwie ławki wzdłuż idące, o 16 siedzeniach, reszta zaś pasażerów mieści się na przednim i tylnym peronie. Przestrzeń pod ławkami użyta jest do pomieszczenia wszelkich mechanizmów, służących do popędu osi wagonowych. Z każdej więc strony podłużnej wagonu znajduje się pod ławką motor gazowy o 2 cylindrach i sile 8 koni parowych, systemu Otto, pod oknami zaś pomiędzy poręczą ławek, a zewnętrzną ścianą wagonu koło zamachowe każdego motoru. Skutkiem tego urządzenia okien spuszczać nie można. Wentylacya zaś wnętrza wagonowego odbywa się za pomocą odpowiednich okien nastawnych i zasów w dachu umieszczonych. Przestrzenie pod ławkami przez motory zajęte są naturalnie od wnętrza wagonu szczelnie odgrodzone ścinaami blaszanemi, aby nie narażać publiczności na niemiłą woń spalonych gazów i łoskot pracujących machin. Gaz do popędu motorów potrzebny, skomprymowany jest do 6 atm. ciśnienia w 10 baniach na dachu rozdzielonych. Banie te mają razem 1,3 metra sześciennego pojemności, mieszczą więc w swem wnętrzu $6 \times 1.3 = 7.8$ cbm gazu świetlanego o 6 atm. ciśnienia. Na stacyach, przeznaczonych do napełnienia tych bań świeżym gazem, a mogących równocześnie służyć i za poczekalnie dla publiczności, ustawione są przestronne naczynia z gazem komprymowanym, a zasilane wprost z gazowni. Naczynie to łączy się wężem gumowym z przepustnikiem do bań prowadzącym, które w ten sposób komprymowanym gazem świeżo się napełniają. Pomiędzy baniami, zastępującymi tutaj zupełnie akumulatory instalacyi elektrycznej, a cylindrami motorów gazowych, zmuszony jest gaz przechodzić przez aparaty do regulowania ciśnienia, a tym sposobem dostaje się do machin gazowych pod zawsze równem ciśnieniem, bez względu na ciśnienie w baniach, które się w miarę ubytku gazu obniża. Prócz tych bań do zgęszczonego gazu, na dachu wagonu znajduje się jeszcze naczynie płaskie, z którego woda przeznaczona do studzenia cylindrów, rozgrzewających się ciągłemi eksplozyami gazu, spływa własnym spadkiem, a ogrzewając się o powierzchnię cylindrów, jako lżejsza od przypływającej, automatycznie podnosi się w górę i wraca do zbiorowiska. Zewnętrzna zaś atmosfera i przeciąg powietrza wśród jazdy temperaturę jej obniża i do ponownej cyrkulacyi zdolną czyni, a proste to studzenie działa, jak praktyka wykazała, bardzo skutecznie. Ponieważ zaś 500 litrów wody wystarcza na dobę do studzenia motorów jednego wagonu, a ubytek jej przez ulotnienie i wyparowanie nie jest zbyt znaczny, nie wielką więc ilość wody jako martwy ciężar w tym celu na wozie umieścić potrzeba.

W zastosowaniu jednakże motoru gazowego do ruchu tramwajowego przedstawiała wielką trudność właściwość takiej machiny, ceniona zresztą w innych jej zastosowaniach, lecz tu wręcz szkodliwa, mianowicie jej niezmienna szybkość biegu. Jeżeli bowiem szybkość każdej machiny parowej, turbiny lub koła wodnego można w pewnych dość znacznych granicach, zakreślonych ich poszczególną konstrukcyą, dowolnie zmienić, to wał główny każdego motoru gazowego robi jednakową ilość obrotów na minutę, a szybkość zmienić można tylko w minimalnych i niedostatecznych granicach, których przekroczenie pociąga za sobą zatrzymanie się motoru. Od każdego zaś tramwaju słusznie wymagać musimy zmiennego biegu i to w granicach nadzwyczaj elastycznych, aby wóz taki mógł się każdej chwili zastosować do ogólnego ruchu ulicznego, a przez zwolnienie lub przyspieszenie swego biegu uniknąć napotkanej przeszkody. Aby wadę tę motoru gazowego usunąć, przenosi inżynier Zühriğ siłę obrotową machiny na osie wagonu za pośrednictwem seryi wałków, kół zębatych i taśmy łańcuchowej, które stosownie ze sobą kombinowane zmieniają szybkość wagonu.

Motory tramwaju są czterotaktowe, to znaczy, że pracują w czterech następujących perjodach: Tłok cylindra idący naprzód ssie mieszaninę gazu i powietrza (takt pierwszy), powracając komprymuje ją (takt drugi), tu następuje eksplozya, sprowadzona zapalaniem ściśnionej tej mieszaniny za pomocą osobnego mechanizmu, gazy eksplodujące rozprężają się i zmuszają tłok do ponownego biegu naprzód (takt trzeci), a za następnym powrotem tłoka (takt czwarty) wydalają się spalone gazy z cylindra, w którym okres ten czteromiarowy ciągle się powtarza. Ponieważ więc z urządzenia takiego wynika, że tylko za każdym czwartym skokiem tłoku eksplodujące gazy siłą swą rozprężną na tłok cylindra działają, trzeba część tej siły gdzieś zakumulować, aby ją na następne trzy skoki machiny zużyć. Takim składem chwilowym zbytecznej na razie siły są koła zamachowe czyli szalone, które dla motorów gazowych stanowią znacznie ważniejszą część składową, jak dla machin parowych. Że jednakże, jak wyżej wykazaliśmy, podczas pierwszych trzech skoków machina gazowa sama siły motorycznej nie produkuje, lecz przeciwnie wypychając spalone gazy, ssąc świeże i komprymując je, sama nawet siłę taką motoryczną zużywa, musi być koło zamachowe przy puszczaniu motoru siłą jakąś wewnętrzną w stały i prędki obrót wprowadzone, motory więc gazowe nie nabierają samodzielnie ruchu, to znaczy nie dają się samem tylko dopuszczeniem gazów do cylindra w ruch wprawić, jak to się przy motorach parowych lub wodnych przez dopuszczenie pary lub wody dziać zwykło, lecz trzeba ręką, lub przy wielkich motorach osobnemi małemi gazowemi maszynkami kołom ich zamachowym wpierw obrót nadać, a dopiero po kilkuństu eksplozyach motor sam dalej pracować zaczyna. Tak więc, aby procedurę tę nadzwyczaj uciążliwą na wszystkich przystankach tramwaju nie powtarzać, motor gazowy rano przy opuszczeniu magazynu puszczony przez dzień cały w biegu swym nieustaje, na przystankach zaś wóz tylko się zatrzymuje przez wyłączenie łącznika tarciowego pomiędzy motorem i kołami wagonu umieszczonego, a motory pracy swej na zewnętrz nie oddając, dalej się obracają. Na każdym więc peronie wagonu są dwie dźwignie, z których jedna służy do wyłączenia sprzęgacza tarciowego, a druga do przesuwania kół zębatych, zmieniających szybkość biegu.

Takim jest system tramwaju gazowego według pomysłu inżyniera Zühriga. Prócz tego naturalnie egzystuje nie mała ilość innych kombinacyj, które w głównych swych zarysach według tych samych zbudowane są zasad, a których charakterystyczne znamiona powyżej zaznaczone zostały. Tak więc urządzili dwaj inżynierowie szwajcarscy pod Neuchatel pięciokilometrową kolej gazową swego systemu, o której fachowe pisma bardzo pochlebnie się wyrażają: na ulicach Chicago i Illinois od kilku już lat kursują koleje gazowe, systemu Coudley'a, a ostatnie próby z tymże systemem w Londynie robione i z angielską ścisłością i dokładnością przeprowadzone, wykazały, że szybkość biegu dowolnie zmieniać, a wyniesienie drogi aż do 50 milimetrów na metr śmiało przezwyciężać można, amerykańskie zaś dzienniki fachowe zaręczają, że ogólne koszta obrotowe kolei takiej o 50 procent są mniejsze, niż koszta kolei elektrycznej. Prof. Gostkowski podaje w nadzwyczaj treściwej swej broszurce jasne bardzo i ścisłe obliczenie tych kosztów obrotowych, biorąc jako podstawę stosunki lokalne miasta Lwowa. Z ciekawych tych i zajmujących dedukcyj, podaję tu tylko ostateczny rezultat:

Przyjmując, iż kolej taka jest 8,9 km długa, że wozy kursują co 7,3 minuty z szybkością 10 km na godzinę, zaś najwyższe wyniesienie drogi na spadku 45 mm na 1 m, to koszta obrotowe na wozokilometr, to znaczy koszta zredukowane na 1 wóz i 1 km drogi włącznie amortyzacyi i 3 proc. odpisów obliczają się: dla kolei elektrycznej z górnem doprowadzeniem prądu na 21,6 fenigów, dla kolei zaś gazowej na 16,7 fen., czyli, że koszta kolei miejskiej gazowej są o 22 proc. mniejsze od kosztów kolei elektrycznej. Ta też i tak bardzo poważna i imponująca różnica zdaje mi się znacznie prawdopodobniejszą, zwłaszcza jako oparta na ścisłem obliczeniu i doświadczeniach praktycznych poczynionych w Niemczech, Anglii i Szwajcaryi, niż zaręczenia pism amerykańskich, przyznające kolei gazowej koszta o 50 proc. niższe, jak koszta kolei elektrycznej, chociaż stosunki amerykańskie tak się od naszych różnią, że, co w Ameryce co dzień się praktykuje i jako zupełnie naturalne się uważa, to u nas wręcz jest niewykonalnem. Dla tego też, chociaż statystyki ame-

rykańskie często zdają się nieprawdopodobnemi i z dziedziną bajek graniczącemi, polegają zwykle na ścisłych badaniach i są rezultatami długoletnich często doświadczeń; wielki jednakże popełniłby błąd, ktoby rezultaty takie osiągnięte przez amerykańskich „businessmanów“ na dziewiczym gruncie Nowego Świata, chciał w naszych odmiennych nawskroś, a malutkich stosunkach za miarodawcze uważać. Biorąc więc te 50 proc. „cum grano salis“, pozostają obliczenia i doświadczenia wyżej wspomniane, przyznające kolei gazowej o 20 proc. większą ekonomiczną wartość, niż kolejom elektrycznym, a liczba ta nadzwyczaj ważna i wysoka jest w stanie kolejom gazowym nadać niemałe znaczenie i szersze zastosowanie. Z tego tak pomyślnego rezultatu biorą naturalnie zapaleni zwolennicy machiny gazowej motyw do marszu żałobnego, na temat bliskiego a nieodzownego zejścia ze świata tramwajów elektrycznych, dołączając zarazem i wyznanie niezachwianej swej wiary w konieczny tryumf motoru gazowego nad machiną parową. Rozczulająca ta zaiste, żadnemi niepowodzeniami zrazić się nie dająca wiara w wielkie przeznaczenie machiny gazowej jest wspólną wszystkim jej zwolennikom, a zdanie to podzielał nawet sławny profesor Haby i na wykładach o teoryi ciepła nieraz nam, jako swe credo przedstawiał! Ha — wiara przecież zbawia, a podobno nawet i skały porusza, — nie przesądzajmyż więc przyszłych zdarzeń — a „qui vivra, verra“!

Witold Urbanowski.

KORESPONDENCYE

Berlin, 25 marca.*)

(Nasza emigracya.)

Dziewiąta część ludności polskiej pod pruskim zaborem bawi na obczyźnie, w samym Berlinie 60, we Wrocławiu 35 tysięcy, i zanikając w swojem rozproszeniu pośród obcego żywiołu, staje się nieużyteczną dla sprawy narodowej, a w danym razie może stać się dla niej wręcz szkodliwą. Społeczeństwo nasze traci na tem blizko 100.000 głosów wyborczych, a co gorsza, kilka set tysięcy rąk do pracy, które dobrze prowadzone, mogłyby powiększyć majątek narodowy; a na opróżnione przez emigrantów miejsce wciska się w znacznej liczbie żywioł niemiecki w postaci kupców, robotników, rzemieślników, i żywi się nie tylko tym chlebem, którym wzgardzili nasi wychodźcy, ale korzysta także z praw ich politycznych.

Pocieszamy się myślą, że lud nasz nie traci na obczyźnie poczucia narodowego, i języka, dzienniki nasze zapisują skwapliwie wszelki objaw życia emigracyjnego; ale cóż stąd za korzyść dla społeczeństwa, że tam daleko na zachodzie żyją setki tysięcy Polaków, którzy mówią i myślą po polsku i biorą żywy umysłowy udział w naszej pracy narodowej, jeżeli czynnie do niej przyczynić się nie mogą, a i dziesiąta część ich nie wróci na ojczystą ziemię?

A przytem łudzimy się wiele. Dochodzą nas tylko głosy tych, którzy pozostali wierni wyniesionym z ojczyzny przekonaniom, a imiona odstępców pokrywa milczenie. Któż ręczy za to, że dzieci naszych emigrantów, chociażby i nauczyły się mówić po polsku, wychowane na obczyźnie, bez znajomości narodowego życia, pozostaną wierne ideałom ojców! a ileż jest takich, którzy już po kilku latach pobytu swego w Niemczech zmienili obojętnie język i zwyczaje i oderwali się także idealnie od narodu.

Można pod tym względem robić w Berlinie bardzo smutne doświadczenia.

Mniej więcej przed rokiem poprosiłem w pewnej wielkiej restauracyi o „Dziennik“!

„Nie trzymamy“, odpowiedział otyły, łysy kelner, „ale może rozkaże pan „Lokal Anzeiger“ albo „Berliner Tageblatt“ albo“...

„A polskich gazet wcale nie trzymacie? przerwałem.

„Nie; nikt ich nie czyta. A pan także Polak?“, dodał poufale.

„Także? Więc i pan Polakiem! Dawno pan jesteś w Berlinie? — spytałem już po polsku.

„O już dziesięć lat przeszło“ — odrzekł po niemiecku po krótkim namyśle.

„I po polsku jużeś pan zapomniał?

„To nie, rozumiem jeszcze wszystko... ale widzi pan, w restauracyi mówi się tylko po niemiecku, a moja żona po polsku nie umie, to się też zapomina mówić... przez dziesięć lat...“

„Ale dzieci przecież uczysz pan po posku!“

„Na co?“ — zaczął obojętnie, ale urwał i machając, widocznie zmieszany, serwetką, dorzucił: „Toć tego tu nikt nie wymaga...“

Mógłbym więcej takich przykładów przytoczyć, ale jeden starczy. A ilu takich Polaków w Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu! Któż ich policzy! — O kobietach wolę już wcale nie mówić.

Goniąc jedynie za polepszeniem swego materyalnego bytu, rozproszeni po całym obszarze Niemiec, nie brali nasi emigranci dotychczas czynnego udziału w życiu politycznem, i za jedyny swój obowiązek względem narodu uważali co najwyżej zachowanie swego języka i swej odrębności narodowej. Im więcej ich się jednakowoż zbierało na obczyźnie, im bardziej przychodzili do poznania swego położenia i swych obowiązków, im głośniej dolatywał ich odgłos walki o byt na ojczystej ziemi, tem silniej musieli odczuwać wyjątkowe swoje położenie, w którem niemożliwem było im korzystać z przysługujących praw politycznych, tem więcej musiało odzywać się w nich pragnienie udziału w obronie narodowości, do której się zaliczali, i musiała nadejść chwila zwrotu ich do politycznego życia.

Zwrot ten dokonał się nagle i nieprzewidzianie w ostatnich kilku miesiącach, i to w tej części emigracyi, która w nieprzerwanej styczności z inteligencyą niemiecką i reprezentantami naszego narodu miała najwięcej sposobności wyrobić sobie pewne poglądy polityczne, i liczebnie zarazem największą przedstawia siłę w Berlinie.

Kolonja polsko-berlińska, a raczej mniejsza a lepsza jej część nie zasypiała nigdy zupełnie swoich obowiązków narodowych i odznaczała się zawsze pewną ruchliwością. Stawała nieraz w obronie swych religijnych i narodowych ideałów, zorganizowała się w liczne, kwitnące towarzystwa, posiada wystarczające na swoje potrzeby czasopisma i kilka szkółek, któreby za wzór sobie wziąść mogła niejedna gmina z prowincyi. Ale wszystko to było dotychczas tylko echem lub przypomnieniem poznańskiego życia, bez wyższych celów, bez myśli politycznej, i skierowane było jedynie na zachowanie polskiego języka w pośród niemieckiej ludności miasta.

Wszystko to zmieniło się naraz i z emigracyi berlińskiej wyrósł zupełnie nowy czynnik polsko-polityczny, z którym powinniśmy się liczyć, który powinniśmy wprowadzić na właściwą drogę, jeżeli nie ma stać się — mimo swej najlepszej woli — szkodliwym dla naszego społeczeństwa.

Emigracya nasza ma niechybnie szczere chęci przysłużyć się sprawie narodowej, ale brak jej jeszcze doświadczenia politycznego, chciałaby nagrodzić sobie długoletnią nieczynność polityczną, nie dość jej udziału w narodowej pracy, lecz pragnęłaby od razu zdziałać coś wielkiego, wywalczyć to, czego nie zdołało uzyskać całe społeczeństwo, a w danym razie stanąć na czele całego ruchu narodowego. To też nie minęło jeszcze pół roku, jak poczyniono pierwsze kroki do zaprowadzenia silnej organizacyi polsko-berlińskiej kolonii, a od kwartału już pokutuje tutaj projekt centralnego komitetu wyborczego na całą Polskę pod pruskim zaborem. Nie zauważono wcale, że projekt ten jest może nieco przedwczesnym; centralny zaś komitet wyborczy ustanowiony w Berlinie lub pod bezpośrednim naciskiem i wpływem emigracyi przeniósłby punkt ciężkości politycznej za granicę kraju i pomijając trudności praktyczne, byłby stanowczym błędem politycznym.

Natomiast godna jest wszelkiego uznania zaprowadzona w końcu lutego centralizacya Towarzystw berlińskich.

Potrzebę silnej organizacyi odczuwano już od dawna pośród emigracyi berlińskiej, ale nie zaradzono jej, bo nie było człowieka, któryby zdołałby ująć myśl kiełkującą i jasno ją sformułować. Uczynił to dopiero p. Berkan, po części pod wpływem ostatniego zjazdu przemysłowców i po długiej, a energicznej pracy udało mu się rozwiązać przedsięwzięte zadanie przez założenie „komitetu“, który ma stanąć na czele towarzystw polskich i połączyć je do wspólnej pracy społecznej i narodowej.

Nie wiem, czy p. Berkan powziął sam tę myśl, którą z końcem lutego tak świetnie umiał przeprowadzić, czy jest tylko wykonawcą podsuniętej mu skądinąd idei; czy od samego początku myślał o politycznem zadaniu emigracyi, o założeniu centralnego komitetu wyborczego; w każdym razie jest taktyka jego bezbłędna i świadczy o wielkiej zdolności organizatorskiej prezesa „Tow. Przemysłowców“. Chcąc wytworzyć z emigracyi czynnik narodowy, któryby starczył za podstawę dodatniej działalności politycznej, trzeba było rzeczywiście połączyć naprzód rozstrzelone i na zawistne rozpadające się obozy społeczeństwo polsko-berlińskie, i stworzyć łącznik pomiędzy nim, a resztą emigracyi; ożywiwszy jednym duchem i świadomością wspólnego celu kilkadziesiąt, — a przy korzystnym rozwoju instytucyi — przeszło sto tysięcy ludzi, możnaby, rzucając je naraz w wir politycznego życia, osięgnąć pewne korzyści dla narodu.

Ale myśl p. Berkana sięga o wiele dalej: zaprasza on do swego „Komitetu“ nie tylko towarzystwa berlińskie i emigracyjne, ale wszystkie towarzystwa polskie, istniejące w obrębie państwa niemieckiego, a przynajmniej Prus. Na pierwszy rzut oka może się takie połączenie ogólne wydawać korzystnem, ale w rzeczy samej mieści ono w sobie pewne niebezpieczeństwo. Towarzystwa, należące do „Komitetu“, zobowiązane są podług przyjętych 28 lutego ustaw zastosowywać się do uchwał rzeczonej instytucyi i działać w jej myśli — albo wystąpić. Ponieważ zaś regularne uczęszczanie na posiedzenia obradującego w dalekim Berlinie „Komitetu“ byłoby dla prezesów Towarzystw poznańskich, pruskich i szląskich połączone ze znacznym kosztem i trudnościami, a w obec wielkiej liczby kółek berlińskich (około 30), ich głosy byłyby decydujące w komitecie, uzyskałaby stosunkowo nieliczna emigracya ogromny wpływ na całe społeczeństwo, a kierując się swoimi lokalnymi interesami, mogłaby skrzywić całe nasze życie narodowe. Gdyby zaś prowincya nie chciała zgodzić się na takie przewodnictwo, musiałaby wystąpić z „Komitetu“, a wystąpieniem swojem wykopałyby głęboką przepaść pomiędzy sobą a emigracyą i zamiast zamierzonej jedności, powstałoby niebezpieczne rozdwojenie i rozgoryczenie.

Nie ulega też wątpliwości, że propozycya p. Berkana nie znajdzie na prowincyi wielkiego poparcia i pozostanie tylko wymownem świadectwem tej samej dążności, która wystąpiła już na jaw przy projekcie centralnego komitetu wyborczego, dążności, aby stanąć na czele ruchu narodowego i przewodniczyć społeczeństwu polskiemu pod pruskim zaborem, jak emigracya paryzka przewodniczyła niegdyś całej Polsce.

Zapomina Berlin przytem o jednem: że emigracya paryzka była kwiatem polskiej inteligencyi i skutkiem tego mogła wywierać wpływ na całe społeczeństwo; emigracya zaś berlińska to grono dzielnych ludzi, które atoli ani inteligencyą ani doświadczeniem politycznem nie może mierzyć się z miarodawczemi kołami ludności poznańskiej i jeżeli chce się przysłużyć sprawie narodowej, powinno żądać nie przewodnictwa, ale stosownie do swej liczby i do sił swoich, współudziału w pracy naszego społeczeństwa.

J. J.

*) Korespondencyą powyższą zamieszczamy z tem zastrzeżeniem, że opinie nasze w sprawie emigracyi wypowiemy w następnym numerze. Przyp. Red.

Paryż, 22 marca.

(Nowy zamach. Czy izba rządzi rzeczą-pospolitą? Tyfus epidemiczny. Nowości literackie. Pani Carnot w pogoni za prywatnem mieszkaniem.)

Miesiąc Marzec wraz z deszczem chłoszczącym nas niemiłosiernie od trzech tygodni, przyniósł nam nowy zamach anarchistyczny: bomba rzucona przeszłego tygodnia przez belgijczyka Désiré Pauwels, u wejścia kościoła de la Madeleine, miała ten szczęśliwy rezultat, że dosięgła tylko samego zbrodniarza. Wiadomość o jego śmierci przejęła cały Paryż prawdziwem zadowoleniem. Świątynia ukarała na miejscu świętokradcę-zbrodniarza. Wiadomo, że nie mogąc wejść do wnętrza kościoła, zastawszy drzwi główne strzeżone przez szwajcara, a boczne zamknięte, chciał Pauwels podłożyć bombę u drzwi aksamitem obitych, oddzielających przedsionek kościoła od wnętrza. Tymczasem automatycznie zamykające się podwoje zapadły za nim, w chwili, gdy klęcząc pudło ustawiał, — sprowadziły wybuch i okropną śmierć. Byłoby pożądanem, żeby śmierć jego stanowiła przestrogę i naukę dla reszty amatorów. — Nowy ten zamach daje dowód jasny, że zbrodniarze jak Vaillant, Henry, Pauwels nie są na własną rękę działającymi osobnikami — ale, że postępują podług z góry obmyślanego, dojrzałego planu. Pierwszy zamach tego rodzaju miał miejsce dwa lata temu w prywatnym domu, drugi w Izbie, trzeci w publicznym lokalu — kawiarni, ostatni wreszcie: w kościele. Przegląd tego szeregu zamachów, sprawia wrażenie, jakoby zbrodnie te, dokonywane za każdym razem w różnych charakterem miejscach, miały zamiar dosięgnąć wszystkie po kolei objawy życia społecznego czy prywatnego. Czuć tu wyraźnie program; program zanadto dobrze skombinowany, by można przypuszczać, że nie jest dziełem świadomej woli i silnej organizacyi. Na ten to punkt wyjścia powinny być zwrócone poszukiwania i śledztwa. Jeżeli są rzeczywiście, a trudno dziś o tem wątpić, kierownicy zbrodni, którzy ją obmyślają i jej przebiegiem kierują, tych trzeba odnaleść i ukarać. Reformy, których partye pewne od Izby żądają, utrzymując, że one umysły uspokoją i zbrodniom koniec położą, mogą być dla wielu powodów pożądane, ale wątpić należy, by miały być lekarstwem skutecznem na czyny tak zbrodnicze, a zarazem i tak bezsensowne.

Jak będzie z powyżej wspomnianymi projektami reform, trudno dziś osądzić, gdyż Izba używa od 18go wakacyj wielkanocnych. Zakończyła sesye przyjęciem projektu utworzenia ministerstwa kolonialnego, a odrzuceniem projektu rewizyi konstytucyi. Ostatnie sesye nie najlepsze po sobie zostawiły wspomnienia. Zaiste trudnem jest położenie Izby francuskiej. W wyobrażeniach ogółu, Izba jest rządzącą siłą kraju: Ona to wszystkiem ma kierować, ona stwarzać i strącać ministerstwa; ona ma być odpowiedzialną za wszystko co się dzieje. Tymczasem w rzeczywistości rzecz przedstawia się inaczej nieco. Ktoś dowcipny zapewniał niedawno, że Izba ma jeden tylko przywilej: elle n'a d'autre pouvoir que celui de solliciter, parfois avec succès, un certain nombre de bureaux de tabac. Nie potrzeba dodawać, ile w tem przesady, ale fakt jest, że władza jej jest właściwie żadną. Strzeżona przez Senat, ograniczona przez prezydenturę, działalność jej może być tylko nieznaczną. Wyrzekła się całej władzy, zatrzymując tylko ciężką odpowiedzialność. Niby to Izba nadaje prawa — ale potrzeba jej na to sankcyi Senatu. Niby to ona stwarza ministerstwo. Zwala je — tak, ale to jest jeszcze zupełnie co innego. Gdy ministerstwo upadło, prezydent republiki, mający swoją osobną politykę, swoje antypatye i sympatye, prezydent, który zwalone ministerstwo stworzył dla swoich widoków, stwarza na szczątkach upadłego nowe, z tem samem zabarwieniem. Czego więc żądać od Izby? Gdyby się jeszcze składała z politycznie wytrawnych mężów, przypomniałaby sobie może w danej chwili, że jest przez wybór ogółu powołaną i postawiłaby ostro na swojem. Ale wiadoma rzecz, że Izba francuzka składa się w większej części z miernych osobistości, nieśmiałych, niedoświadczonych, nie mających przedewszystkiem żadnego pojęcia o polityce. Czego można więcej żądać od takich niedoświadczonych i niedouczonych jak bierności!

Paryż, tak często skarżący się na wodę do picia, ma znowu nowy powód do użaleń. Tyfus szerzy się tu wśród biedniejszej ludności, zabierając i w bogatych dzielnicach raz po raz ofiary. Komisya zdrowia czyni odpowiedzialnym za tę plagę le service des eaux. Zaczęto analizować wodę. Łatwo więc szkodę naprawić i tyfus wyrugować. Wypadków śmierci była zresztą ilość stosunkowo niewielka, niezamąciła spokoju i niepsuje humoru wiecznie rozbawionego miasta. A bawią się tu wesoło: wyścigi, bale, przedstawienia amatorskie i premiery teatralne sypią się jak z rogu obfitości. Kilka dni temu dano w operze po raz pierwszy „Thaïs“, komedyę liryczną w 3 aktach. Poemat Ludwika Gallet, podług powieści Anatola France, muzyka Massenet'a. Thaïs, któremu nie brak wielkości, i który, prócz tego odznacza się delikatnością i wytwornością opracowania, grzeszy jednak wielkim błędem. Połączenie, związek scen, akcya cała, w czytaniu pociągająca, na deskach teatru okazuje się zanadto pospieszną, za mało wytłomaczoną, za mało jasną, jednem słowem: rozerwaną. Drugi zarzut: niektóre sytuacye powtarzają się nadto często — jak naprzykład pokusy i wizye pustelnika Athanaëla. Całość jednak dodatnie robi wrażenie, ma zwłaszcza tę wielką, w tym razie główną zaletę, że się nadaje w wysokim stopniu do muzycznego opracowania. Partycya Massenet'a zachwyca od początku do końca nadzwyczajnem bogactwem kolorytu. Możeby nawet zarzucić można kompozytorowi, że poświęcił myśl kolorytowi, zwłaszcza efektom instrumentacyi, które jakkolwiek świetne, w końcu jednak pochłaniają zanadto uwagę na niekorzyść uczucia. Zrobiwszy to zastrzeżenie przyznać trzeba, że partycya Thaïs posiada wiele stronnic prawdziwego, głębokiego natchnienia. Rola bohaterki powierzoną została p. Sybil-Sanderson, która w tej roli debiutowała w operze. Niemożna było sobie życzyć więcej fizycznie do tej roli odpowiedniej artystki — tak głosem, pełnym, dźwięcznym, jak uroczą, pociągającą powierzchownością.

Księgarnia Calman Levy wydała w ostatnich czasach 5 tom dzieła Renan'a „Histoire du peuple d'Israel.“ Ten piąty, a zarazem ostatni tom wywoła te same zarzuty a także i te same pochwały, co tomy poprzednie. Język zawsze równie piękny, musi czarować, podbijać, zachwycać, ale obfitość fantastycznych opowieści i faktów nie pozwala uważać nowego dzieła Renan'a za utwór ścisłego historyka, lecz po prostu za cudowną fantazyę romansopisarza. Równocześnie nieomal z dziełem Renan'a posypało się całe mnóstwo nowości na półki księgarni. W witrynie każdego szanującego się księgarza znajduje kilkanaście co najmniej książek, których świeżością błyszczącą, żółtą okładkę, opasuje banda papierowa, z napisem: „Vient de paraître“. Brak mi czasu i miejsca by te nowości wymienić. Wspomnę jeszcze tylko o tomie poezyi znanego i cenionego romansopisarza — poety Jana Richepin. Tytuł książki: Mes Paradis. Wiersz, jak zwykle u Richepin'a jędrny, błyszczący, potoczysty. Filozofja całej książki mieści się w pierwszym sonecie: „J'ai vécu.“ Młodo, ledwo wyszedłszy z lat dziecięcych, rzucił się poeta w wir świata — przez los na przemian smagany i pieszczony. Teraz, gdy młodość minęła, a wiek dojrzałości i rozwagi nastał — poezye tego ostatniego tomu pisane były między 30 a 40 rokiem życia — poeta wycofawszy się z walki wrzącej, zawinął do spokojnego portu szczęścia domowego. Wielka szczerość, wielka łagodność i wielka litość wieje z całej książki. Czytać i odczytywać można zawsze z równą przyjemnością te natchnieniem szczerym zapisane karty.

Kończę dzisiejszy list plotką, która was może zajmie. Mówią tu ogólnie, a nawet i w dziennikach przebąkują, że pani Carnot ogląda się za prywatnem mieszkaniem. Oglądała już nawet „podobno“ wspaniały dom na bulwarze St. Germain. Wniosek łatwy do wyciągnięcia; pan Carnot prezydenturę w każdym razie złoży, — to jest nie ma zamiaru przyjąć wielkiej, ale nużącej, w kłopoty i gorycze obfitującej godności, chociażby nawet, na co się zanosi, raz jeszcze ofiarowaną mu być miała.

A. Y.

KRONIKA LITERACKA.

Wydawnictwa Kościuszkowskie.

Jubileusz bitwy Racławickiej i pamiętnej przysięgi wielkiego bohatera na krakowskim rynku ożywił nasz ospały ruch wydawniczy, który jedynie w nadzwyczajnych okolicznościach do sprężystszej zrywa się akcyi. Poniżej podajemy szereg notatek kronikarskich o poznańskich i gdańskich wydawnictwach, uwzględniając jedynie książki z pominięciem pamiątkowych obrazów, medali itd.

Nakładem „Gońca Wielkopolskiego“ ukazało się „Powstanie narodu polskiego pod wodzą Tadeusza Kościuszki w r. 1794“. Książeczka ta zaleca się serdecznem ciepłem patryotycznem, które wieje z każdego zdania nieomal. Dzieje powstania skreślone są żywo, jasno i zwięźle, a końcowe stronnice zawierają treściwy życiorys narodowego bohatera. Cena 30 fen.

„Księgarni Katolickiej“ zawdzięczamy aż cztery ilustrowane wydawnictwa Kościuszkowskie: 1) Kościuszko w r. 1794. Na pamiątkę 100-letniego jubileuszu napisał B. T. Z 10 rycinami. Cena 10 fen. 2) Tadeusz Kościuszko, jego żywot i czyny. Na pamiątkę, 100-letniego jubileuszu. Napisał B. T. Z 23 obrazkami. Cena 20 fen. 3) Książeczka o Kościuszce dla dzieci polskich. Ułożył J. Chociszewski. Wydanie drugie z licznemi rycinami. Cena 30 fen. 4) Spis osób które uczestniczyły w działaniach wojennych Kościuszki 1794 r., poprzedzony poglądem historycznym na przyczyny upadku Polski oraz krótką historyą wypadków, w r. 1794 zaszłych. Opracował Bolesław Twardowski.

Z czterech powyższych książeczek zaleca się obfitością rycin, bogactwem materyału i językiem potoczystym, chociaż gdzieniegdzie skażonym germanizmami, dziełko wymienione pod Nr. 2. Utwór ten polecamy rozdzielać między dziatwę szkolną. Książeczka p. J. Chociszewskiego odznacza się pewną znajomością wyobraźni dziecięcej, lecz styl uderza niemile nużącą rozwlekłością, a tłomaczenie francuzkiego wierszyka „Listek“ razi usterkami gramatycznemi i, miejscami pozbawione jest sensu. Trudno się także zgodzić na niektóre pojęcia estetyczne autora, trudno wreszcie przyklasnąć życzeniu, aby inteligencya polska ubior swój na wiejskie sukmany zamieniła. Czwarta książeczka zalecająca się formą wytworną, przeznaczona jest dla dojrzalszej publiczności i wskazuje miejscami na sumienne studya źródłowe. Zamilczeć jednak nie możemy, że część poglądowo-historyczna ujawnia charakter kompilacyi i ze względu na szczupłe rozmiary wydawnictwa, traktuje nieco szkicowo zadanie swoje. Ilustracye natomiast zasługują na głębokie uznanie, a za mozolny trud spisania uczestników Kościuszkowskiego powstania, oraz osób, które złożyły ofiary na rzecz bohaterskich zapasów, należy się wdzięczność autorowi, choć jak sam przyznaje, praca jego ani wyczerpującą ani dokładną nie jest. Przypominamy tu, że p. Bolesław Twardowski wydał podobną publikacyę w r. 1883 p. t.: „Spis rycerstwa polskiego, walczącego z Janem III pod Wiedniem.“

Znany pisarz ludowy Mieczysław z Poznania ogłosił historyczny obrazek powieściowy dla ludu i młodzieży p. t. Czasy Kościuszkowskie. Opowiadanie to tryska gdzieniegdzie nutą nadto sielankową, ale napisane żywo i barwnie, może zająć wyobraźnię i rozpalić serca.

Zwracamy wreszcie uwagę na wydawnictwo redaktora „Gazety Gdańskiej“, p. Milskiego p. t. Tadeusz Kościuszko. Styl i język nie wszędzie zaleca się poprawnością, ale całość jest jasna, przejrzysta i zdrowym owiana zapałem.

W sprawie wydawnictw, krakowskich, lwowskich i wiedeńskich otrzymujemy następującą korespondencyę:

Kraków, 22 marca.

W chwili, kiedy zaczynam pierwszą swą pracę do „Przeglądu Poznańskiego“ — wszystko co głębiej myśli i poczuwa się do polskości, żyje we wspomnieniach wielkich chwil kościuszkowskich i oddaje się zabiegom koło ich dostojnego uczczenia. Pisma są przepełnione wiadomościami z najodleglejszych zakątków ziem polskich, śpieszących w odezwach gorących i zabiegach uczcić pamięć 24 marca i 4 kwietnia. Prawdziwie — Polska cała jest dziś żywem przezroczem, o zgłoskach wiecznej pamięci, opromienionych ciepłem, bijącem zewnątrz zapałem i ukochaniem tych rocznic. W chwili tej ani chcę ani mogę zagajać rozpraw tych na powszednie tematy naszej biedy literackiej bądź na odświętniejsze — naszych „ostatnich“ czy przedostatnich zdobyczy w poezyi czy powieści. Tem wszakże, nie czem innem. wypełnią się z konieczności łamy nowego pisma; dziś więc chciałbym wyświadczyć małą przysługę szerokiemu ogółowi, podając notatkę bibliograficzną o wydawnictwach poświęconych w statnim czasie Kościuszce i jego pamiątkom. Zastrzegam się, że nie myślę wyczerpywać całkowitej, a bardzo okazałej bibliografii tego działu, lecz tylko wskazać na te książki, które przybyły nam świeżo lub w ogóle mogą rachować na szersze koła czytelników.

Zaczynam od wydawnictw ludowych, w nadziei, że przy sposobności nie jeden z czytelników zechce z nich zrobić upominek czytelniom ludowym lub szkołom. Jest ich sporo, a każde przynosi coś, czem się od innych korzystnie wyróżnia. Do najlepszych zaliczyć wypada pracę p. Eustachego Śmiałowskiego, uwieńczoną nagrodą w konkursie Tow. im. Kościuszki. Jest to na 129 stronach 16-tki opowiedziany życiorys p. t. „Tadeusz Kościuszko, jego życie i czyny“. Język wykładu niezmiernie prosty i jasny, a treść obrachowana na czytelnika, który o Kościuszce nic albo bardzo mało co słyszał. Tendencya, jak wszystkich prawie wydawnictw ludowych, lepszej miary, to „świadomość i wiara, że kto chce wolnej Polski, ten pragnie szczęścia ludu“. Książeczkę tę polecić można gorąco tam, gdzie jak np. na Szląsku lud nie przechował tradycyi 94 roku i gdzie ją prawie na glebie dziewiczej trzeba szczepić.

Na znacznie wyższym poziomie, lecz równie jasno i rozumnie napisana jest książeczka p. Fr. Stefczyka p. t. „Żywot Tadeusza Kościuszki“ — również nagrodzone wydawnictwo Tow. im. Kościuszki. Zalecić ją można starszej młodzieży szkolnej i oświeceńszym warstwom ludowym.

Tej również kategoryi czytelników przypominam o trzeciem wydaniu „Kościuszko pod Racławicami“ — obrazu p. A. W. Lasoty, znanego szerokiej publiczności ze sceny. Są tu między innemi ustępy żywcem nadające się nawet do najuboższej, wiejskiej trupy amatorskiej; całość zaś może być przepysznie odczytana na licznych wieczornicach, które się wkrótce odbędą po całym kraju.

Z godłem „Niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec“, wydało wydawnictwo groszowe rzecz „O naczelniku Kościuszce w setną rocznicę Racławic“. Autorem książki jest p. Kasper Wojnar. Cena (5 centów) i przystępny wykład zalecają pracę do bardzo szerokiego rozpowszechniania.

Najświeższą wreszcie nowością jest książeczka pani Maryi Wysłouchowej „O Kościuszkowskiem powstaniu z 1794“. Książeczka ozdobiona portretem naczelnika, daje za 20 centów 160 stron niezmiernie barwnie z werwą kreślonego opisu. Pod tym względem jest to może najlepsza z książeczek ludowych, o czem wiedzą zapewne czytelnicy „Kuryera Lwowskiego“, który podawał wyjątki z pracy p. M. W. Na tem przegląd literatury ludowej kończymy: wszystkie wymienione książeczki odpowiadają dobrze przeznaczeniu, trzeba tylko wybrać odpowiednio do sfery czytelników. Mimowoli jednak ciśnie się pod pióro uwaga, że wobec zupełnej tożsamości tendencyi prawie wszystkich wymienionych broszur, dziwi trochę fakt, iż nie pomyślano nawet [illegible]iej chwili o zespoleniu sił wydawniczych. [illegible] zamiast pracy na swoją rękę, zgodzono [illegible]rowadzić wydawnictwo o Kościuszce wspólnemi siłami — otrzymaćby mógł lud polski od swojej inteligencyi upominek istotnie wspaniały. Możnaby wówczas było oznaczyć cenę istotnie groszową, a mimo to dać parę książek (w różnej skali) wyczerpujących i objaśnionych mnóstwem rycin, czego nie zrobiło niestety żadne z pomienionych wydawnictw. Warto pamiętać o tem na przyszłość, bo wszak więcej stoimy o jednę i drugą setkę tysięcy nakładu, niż o wątpliwy zaszczyt popełnienia cienkiej książeczki na własną rękę.

Czytelnicy z inteligencyi przypominają sobie zapewne dawniejsze wydawnictwa w tym zakresie jak np. Dzieje Tadeusza Kościuszki, przez generała Paszkowskiego skreślone; pamiętniki Zajączka, Wybickiego, dalej prace Wiemińskiego, Rychlickiego. Antoniego dr. J. itd. Nie będę się nad niemi rozwodził, tych zaś, którzy by chcieli opracować epokę Kościuszkowską, odsyłam do bibliografii Edmunda Calliera. Jednakże w ostatniej chwili przybyło nam parę ładnych przyczynków, jak np. Baudouin de Conrtenay'a „Nowe materyały do dziejów Kościuszki“, obejmujące ciekawy epizod pobytu jego w Petersburgu, oraz charakterystyczne szczegóły z dyplomacyi rosyjskiej owych czasów. Dalej — warto przejrzeć kartkę z przeszłości skreśloną przez dr. Klem. Bąkowskiego p. t. „Kraków w czasie powstania Kościuszki“. Jest to obrazek bardzo żywo skreślonych chwil spisku, powstania i wreszcie pruskiej niewoli Krakowa, gdzie uwiecznione są wizerunki prezydenta Lichockiego, komendanta Wieniawskiego, Margelika, Hoyma. Autor przenosi nas żywo w czasy, kiedy rozlepiali Krakowianie na złość Prusakom plakaty

Zwei Kaiser und ein König —
Sind für Kościuszko zu wenig...

Prawdziwie ładną i zbytkownie wydaną rzeczą jest album p. t. „Tadeusz Kościuszko — 12 obrazów z Ajdukiewicza, oraz studyum przez Alf. Szczepańskiego“. Studyum Szczepańskiego (wyszło również w oddzielnej odbitce) jest przeciętnym tekstem mniej więcej zharmonizowanym z treścią Albumu. Obrazy Ajdukiewicza dają w postaci ładnych heliograwiur potret Kościuszki, dom rodzinny, scenę w Sosnowicach z panną Ludwiką Sosnowską, scenę przysięgi. Racławice, Maciejowice itd. Na ostatnim obrazie geniusz wieńczy laurem grobowiec na Wawelu. Kto jednak pragnie nie salonowej ozdoby, lecz t. zwłej pamiątki i razem zupełnie wyczerpującego studyum o Kościuszce — temu radzimy wstrzymać się przez czas jakiś z zakupnem książki. Muzeum Rapperswylskie biografię Naczelnika powierzyło jednemu z poważniejszych historyków (nazwiska wymieniać nie możemy). Praca ta wkrótce ukaże się w druku i sądzimy, że w zupełności pokryje dotychczasowy brak życiorysu opartego na najnowszych poszukiwaniach.

Do wiadomości wreszcie jak najrozleglejszych sfer podajemy, że w Krakowie od roku już wychodzi pisemko miesięczne p. t. „Kościuszko“. Redaktorem jest p. Antoni Kostecki. Celem pisemka jest zgromadzenie wszystkich szczegółów mało, lub wcale nieznanych, tyczących życia Kościuszki i pamiątek po nim. Dotąd pisemko zamieściło kilka bardzo cennych przyczynków. Znajdujemy tu wspomnianą wyżej bibliografię pułk. Calliera; cztery w oryginalnem brzmieniu testamenty Kościuszki; dalej ustalenie jego rodowodu, ciekawe dokumenty familijne, akt przysięgi i powstania, spisy przedmiotów po Kościuszce w ręku prywatnem i w muzeach rozrzuconych itd. Wreszcie w rubryce p. t. „Sto lat temu“ redakcya podaje dzień po dniu kreśloną historyę roku 94-go. Kończymy notatkę naszą prośbą redakcyi „Kościuszki“ (Ul. Karmelicka Nr. 1, Kraków) o nadesłanie szczegółowych i dokładnych opisów przedmiotów po Kościuszce, odpisów dokumentów, listów — w ogóle wszystkiego, co się tyczy tych chwil, a jest w posiadaniu prywatnem lub publicznem. Do niej również zwracać się mogą wszyscy, szukający bliższych wskazówek w zakresie wydawnictw ościuszkowskich.

Antoni Potocki.

KRONIKA POWSZECHNA.

— W artystycznej spuściźnie zmarłego przedwcześnie malarza i literata Władysława Mottego znajduje się kilka pięknych rysuków i akwarel. Sześć kartonów przedstawia ilustracye do „Tysiąc nocy i jedna“, inne „pasterkę na wsi“ i fantazye na temat legendy o Twardowskim. W papierach nieboszczyka znaleziono również pięcioaktowy dramat historyczny i szkic dramatu osnutego na tle współczesnych stysunków fabrycznych.

— Prof. Maryan Jaroczyński wykończa obecnie obraz alegoryczny wielkich rozmiarów, przedstawiający „Polskę u stóp Krzyża.“

— W całym zaborze pruskim żywo zajmują się pytaniem, kto po Auguście Cieszkowskim obejmie urząd prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wymieniają różnych kandydatów, o których na razie żadnej opinii nie wypowiadamy. Wyrażamy jednak już dzisiaj życzenie, aby bez względu na stopnie hierarchii społecznej, powierzono urząd prezesa tylko takiemu człowiekowi, który nie tylko szeroką wiedzę i znaczenie w świecie naukowym posiada, lecz również zaufanie budzi, że sprawami Towarzystwa gorąco opiekować się będzie, a nadto zajmuje stanowisko niezawisłe.

— W miesiącu kwietniu przybędzie do Poznania na występy gościnne słynny artysta teatrów warszawskich p. Leszczyński.

— Książę Mikołaj czarnogórski wyznaczył 5 000 frk, jako nagrodę za najlepszą historyę Czarnogórza od czasu wstąpienia na tron pierwszego członka panującej obecnie dynastyi, to jest od r. 1596.

— Pan Wincenty Łoś, docent uniwersytetu petersburskiego, został mianowany nauczycielem historyi ruskiej w akademii duchownej, katolickiej w Petersburgu.

— W warszawskiem „Towarzystwie Sztuk pięknych“ wystawiono większych rozmiarów obraz p. Wład. Podkowińskiego p. t. Szał. Treść obrazu symboliczna.

— W poznańskim teatrze zanosi się na wielkie zmiany. Donoszą nam z wiarogodnego źródła, że dyrekcya powzięła zamiar odświeżenia personału scenicznego nowemi siłami i usunięcia kilku niefortortunnych cząstek obecnego składu artystów. Winszujemy dyrekcyi tego postanowienia, a nadto wyrażamy nadzieję, że reżyserya w zdolniejsze ręce niebawem złożoną zostanie. Reforma ta jest konieczną w interesie sceny.

BIBLIOGRAFJA.

— Brandes J. Umysły współczesne. Portrety literackie XIX wieku. Tom I. (Heyse, Renan, Andersen, Mill, Tegner). Cena rs. 1. Tom II. (Flaubert Paludan-Müller, Goncourtowie. Turgeniew, Ibsen, Bjornstierne, Nietsche. Cena rs. 1. Warszawa 1894. Nakładem Redakcyi „Głosu“.

— Teodor Tomasz Jeż Edmund Kloc. Powieść. Warszawa. Nakładem Paprockiego i Sp. 1894. Cena 2.00 Mr.

— Dr. Maurycy Straszewicz. [Dzieje filozofii w zarysie. Krakow 1894. Nakładem Spółki Wydawniczej polskiej. Cena 6 Mr.

— Ernest Deiches. Koniec Morstyna. Studyum historyczne. Kraków 1794. Cena 2 Mr.

— Listy Andrzej Edwarda Koźmiana (1829—1854). Lwów 894. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 2 tomy. Cena 15 Mr.

— Cezary Jellenta. Ideał wszechludzki w poezyi spółczesnej. Tom 1. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1894.

Odpowiedzi od Redakcyi.

— Korespondentowi z Wolsztyna. Feuerbach mówi: Es ist ehrenvoll von der Dummheit gehasst zu werden.

— Pani St. K. w Mo. Pismo nasze ma inne zadanie, i dla tego mimo kurtuazyi dla dam, dodatku mód nie zaprowadzi.

— Panu S. w Krakowie Na razie drukować nie możemy. Odcinek zajęty już na 2 miesiące. Rękopism odeślemy niebawem.

— Panu E. w Toruniu. Polecamy „Zasady ekonomii społecznej“ Karola Gidego i „Zasady socyologii“ H. Spencera.

— Panu T. S. w Kr. „Biuro bibliograficzne w Berlinie podejmie się niezawodnie tego zadania.

— Pannie Maryi w „głuchej prowincyi“. Dziękujemy za serdeczne słowo. Prosimy sądzić nas według treści pisma, nie według insynuacyj ludzkich.

Odpowiedzi Administracyi.

— Ogłoszenia przyjmujemy tylko do każdej środy, godz. 12-ej w południe.

Za nakład i wydawnictwo odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Czcionkami W Simona w Poznaniu.